OGNIWO

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY POLITYCE NAUCE I SZTUCE

Treść Nru 5:

Redakcja i Administracja: Kraków, Mały Rynek L. 4, I. p.
Redaktor naczelny: Marjan Flasiński.

Nr 5. Kraków, listopad 1921. Rok II.

OGNIWO

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY POLITYCE, NAUCE I SZTUCE.

REDAGUJE KOMITET. — REDAKTOR NACZELNY: MARJAN FLASIŃSKI.

PRENUMERATA: KWARTALNIE 600 MK. — NUMER POJED. 200 MK.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
KRAKÓW, MAŁY RYNEK L. 4, I. — TELEFON Nr 1286.

LEON PATYNA.

Błogosławieństwem jest w smutku godzinie...

Błogosławieństwem jest w smutku godzinie
Promień słoneczny, skoro skroń rozjaśni...
Z szelestu liści, drżących na drzewinie,
Spływa złotawy, jak dobry duch w baśni —
Zgryzota często najczarniejsza minie
I duszę tulą aniołowie jaśni
Do snu, z którego wstaje pokrzepiona,
Jakby przez Boga pobłogosławiona.

Wzrok nędzą ludzką znużon i sromotą
W konchę uroku chętnie się zanurza...
Spotkawszy bratnią duszę szczerozłotą
Rozkosznie czarem piękna się uderza
I wiekuistą podniecon tęsknotą
Czyta w zachwycie z lic „Anioła-Stróża“
Tajemną powieść o nieśmiertelności
I wtedy bogom nieba nie zazdrości.

Moc odrodzenia, kiedy się upada,
Daje muśnięcie skrzydeł aniołowych...
Moc, która całem jestestwem owłada
I w nerwy wszczepia hart prętów stalowych —
O ileż zwątpień wtedy duch postrada,
Ile porywów unosi go nowych...
Do walk, triumfów, znów jest uzbrojony —
Genjusz mu na skroń kładzie z gwiazd korony.

Mjr. STANISŁAW BOROWIEC.

O bolszewiźmie.

Rzecz wygłoszona dnia 3 grudnia 1920 r. na zjeździe referentów oświatowych 7 dyw. piech. w Sarnach.

Przedewszystkiem przeproszę tu zgromadzonych za rozczarowanie, jakie im zgotuję. Z mych następnych słów nie usłyszą panowie ani jednej statystycznej cyfry, ani jednego rzeczowego zestawienia, nie przytoczę ani jednego tytułu ekonomicznego dzieła znanego pióra — rzecz o „bolszewiźmie" ująłem zupełnie nie fachowo, całkiem osobiście, a przedewszystkiem uczuciowo. I zdaje mi się, że właśnie o takie przedstawienie tej naszej polskiej, a i ogólnoludzkiej zmory chodziło naszemu referentowi oświaty. Drukuje się teraz wszędzie tyle na temat obecnego przewrotu, w każdej niemal gazecie znajdzie się bodaj jeden artykuł, że muszę interesujących się rozwojem, historją i ścisłemi przejawami bolszewizmu odesłać do pierwszej lepszej księgarni, a nawet już do naszych żołnierskich bibljoteczek, gdzie się już z pewnością znajdzie to i owo o bolszewiźmie.

Na gruntowne przygotowanie się, wypisanie ciekawych zresztą dat, nie miałem czasu. Literatury bolszewizmu prawie że nie znam. Uproszony przez szefa sekcji kulturalno-oświatowej 7 dyw. piech., zebrałem parę własnych myśli, kilka refleksyj i parę własnych wrażeń ubrałem w nieudolne słowa.

* * *

Polska zakończyła wojnę, zawarła pokój. Jest stałym objawem, że między państwami wojującemi, tuż po podaniu sobie ręki do nowej zgody, otwierają się długo zamknięte granice dla ożywionego handlu. Układy pokojowe obejmują poza politycznemi kwestjami w pierwszym rzędzie umowy handlowe, gdyż zazwyczaj sąsiedzi nie mogą egzystować bez wzajemnej pomocy.

Dnia 16 listopada 1920 r. przystąpiła Rzeczpospolita Polska do ostatecznego załatwienia pokoju z rosyjsko-ukraińską republiką ludową. Dotyczące dokumenty objęły wszelkie warunki dalszego graniczenia ze sobą, ustalono prawną ochronę obywateli jednego państwa na obszarze drugiego, określono najdokładniej przyszły stosunek wobec siebie obydwu republik.

Tekst obowiązujących obie strony umów czytamy w gazetach i nie wchodząc głębiej w ten ogromnie doniosły wypadek dziejowy, cieszymy się jako ludzie, obywatele i żołnierze z osiągniętego nareszcie pokoju. Polska prowadziła dwa lata własną, ciężką wojnę — kilka lat wstecz, wojowała pod cudzym sztandarem i za cudzą sprawę. Brała więc Ojczyzna najżywszy udział w tem gigantycznem zmaganiu się ludzkości, zakuta w obcy obowiązek i złożyła niezwykle krwawy haracz na wszystkich niemal pobojowiskach wojującego świata.

Długo oczekiwany, w utrapieniu wyglądany pokój zawitał. Nad podeptanemi łanami w późną jesień siódmego roku wojny ukazał się cud-zjawisko — gołąb z oliwną gałązką pokoju. Przybył ze wschodu, przeleciał nad popalonemi wsiami i przygnębionemi miastami. Stała się jednak rzecz dziwna, nie do uwierzenia. Gałązka oliwna, odbijająca swą świeżością od zamierającej na zimę natury, nie zachwyciła nikogo. Siwy ptak pokoju nie przyniósł spodziewanej radości.

Czytamy bez entuzjazmu w gazetach suche wzmianki o korzystnych dla Polski a nareszcie ustalonych granicach, o zobowiązaniach państwa pobitego wobec zwycięskiego, czytamy o wymianie jeńców, zabezpieczeniu rodaków za wschodniemi granicami Rzeczypospolitej — czytamy optymistyczne wywody na temat podźwignięcia się naszego przemysłu, otwarcia rynków zbytu dla niego na wschodzie, a równocześnie słyszymy w naszych wojskowych rozkazach wyrazy, które dziwnie odbijają od tego nam jeszcze nie całkiem zwykłego słowa „pokój“.

Armja ma pozostać pod bronią, na wschodniej granicy państwa postawiono kordon wojskowy, drogi i wstęp do Polski od wschodu szczelnie zamknięto; jedynie rzeczywistym obywatelom Rzeczypospolitej wolno, przy zastosowaniu ścisłej kontroli, przejść poza słupy graniczne.

Przecież „pokój“ zawarty, ustały walki, tam w Rydze podały sobie ręce do zgody delegacje obydwu republik. Czemu nie wyciąga żołnierz republiki polskiej ręki do żołnierza republiki sąsiedniej, ktorą nazywa jak on „ludową“? — dlaczego postanowienia rozejmu odsunęły linję wojsk obydwu państw na kilkadziesiąt kilometrów od siebie, zakazując najmniejszego zbliżenia? — poco utworzono szerokie pasy netralne? — czemu ci ludzie z jednej i drugiej strony, walczący za swoje ideały, nie podadzą sobie urobionych w żołnierskim znoju dłoni do braterskiego uścisku?

Polska na swej wschodniej rubieży postawiła wypróbowany mur żołnierskich piersi. Stanęły więc szeregi na długiej linji granicznej z gotową bronią u nogi i patrzą w mgły przedzimowe, zasłuchane w szum wiatru wschodniego, zwiastującego zadymki śnieżne, zimno i głód. Wzmacnia się w duszy żołnierskiej przekonanie, że to ludowe zło-głód, pomór, wojna, rodzi się gdzieś tam właśnie na wschodzie i stamtąd nam zagraża. Bo przecież z tego kierunku przyszedł kres dawnej świetnej Polski, stamtąd wiekowa niewola. I trzeźwy żołnierz polski, wsłuchując się w złe poświsty silniej ściska w skrzepłej od zimna dłoni towarzysza-karabin i patrzy śmiałem sercem w twarz widmu, poczynającemu się w tych mętnych mgłach i rozciągającemu się po wschodnim horyzoncie.

Niepiśmienny polski żołnierz nie rozumie, ale odczuwa swą zdrową duszą, że jeszcze nie czas do domu, do swoich, że jego zobowiązania nie skończone, że słowo „pokój" nie znaczy „spokój" i dziwnie — wobec tej groźnej, ohydnie mrocznej mary, ucicha tęsknota za domem, za słusznym wypoczynkiem i znów odżywa ofiarność-rezygnacja, że osobiste szczęście jeszcze, jeszcze musi ustąpić dalszej potrzebie kochanej Ojczyzny. Poza suchem słowem wojskowego rozkazu przemawia do trzeźwego przekonania konieczność dalszego pozostawania w twardym żołnierskim obowiązku.

Idzie sroga zima, przysypie śniegiem wszystkie przebyte szlaki, zatrze ślady zniszczenia, ukołysze minione straszne obawy — niech nie uśpi czujności. Przyczajony pod lodową skorupą, zły posiew może się znów obudzić z wiosną i zagrozić polskim zagonom, rozsiewając się z pierwszym podmuchem wiosennego wiatru po polskich sadach, ogrodach, dusząc zdrowe macierzyste ziarno.

Więc stać musimy u wrót własnej zagrody, gotowi do natychmiastowego plewienia wschodzących obcych chwastów.

* * *

Dla przedstawienia następstw, wywołanych ostatniemi przewrotami w Rosji, używano plakatów, ilustrujących najdosadniej i uchwytnie panujące tam stosunki.

Gdy mnie kto zapyta, co jest bolszewizm, najchętniej wskazałbym mu jeden z takich plakatów, przedstawiający Trockiego, jako djabła siedzącego na worach złota, na ogromnem polu, zasłanem miljonami trupich czaszek. Na twarzy tego herosa przewrotu, piekielne zło, jakaś szatańska zawiść przeciwko wszystkiemu, co tchnie chrześcijaństwem — pozatem, na tej nieludzkiej twarzy

zaduma śmiertelnej wątpliwości, czy te, leżące u jego djabelskich kopyt plony — trupy, to wkoło niego morze łez ludzkich i morze krwi otworzą ludzkości drogę do szczęścia.

Na mnie ten obraz zrobił głębokie wrażenie, prawie nie potrzebowałem innego wytłumaczenia — ta rysowana definicja trafiła odrazu do mego przekonania. Nie wchodząc głębiej w przyczyny odgrywających się wypadków, odczułem intuicyjnie, że dokonujące się zło, nie pozostawiające za sobą niczego, prócz zgliszcz, łez i przekleństw — to droga, która ludzkości nie prowadzi na wyżyny, ale właśnie ją gwałtownie ciągnie w dół ku jakiejś sromotnej przepaści.

Poza temi, niezwykle i jasno przemawiającemi plakatami, przesunęły się przed naszemi oczami inne, jeszcze więcej przekonywujące rzeczywiste obrazy. Któż z nas nie widział jeńców „krasnej armji"? — Nie chodzi o wygląd zewnętrzny, bo i nasz żołnierz bywał, niestety, zbyt często obdarty i świecił, pożal się Chryste — nagiemi polskiemi gnatami, lecz go nigdy nie opuszczała pewność siebie i silna wiara w coś, nie determinacja. Zapytany, za co się bije, nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią, był świadom, że za swój dom, za język, za dobrobyt, za wolność, a ci najuświadomieńsi odpowiadali najkrócej „za Polskę".

Krasnoarmiejec milczał; indagowany przez natrętnie ciekawych odpowiadał: — „wywlekli z chaty, zmusili, kazali". — A nie trzeba zapominać, że rząd sowietów wydaje niewiarygodne sumy na pisaną propagandę, że swoje komunały drukują na wszelkiego rodzaju i nawet koloru papierze, że zasypuje swoje steroryzowane społeczeństwo rozpasaniem drukowanego słowa. Krasnoarmiejec nie wierzy papierom, on wie tylko, że go wyrwano — nie wchodźmy w prawdziwość jego świadomości — ze światka, gdzie mu było dobrze. Chłopu czy z tej czy owej gubernji jest na własnej zagrodzie, we własnym domu, bezwątpienia dobrze. Tego uczucia nie wyruguje porywający, ognisty komunał nowego wyznania.

To nie jest żadna trudna do zrozumienia filozofja, żadna to jest pewnik — ludziom było i bywa dobrze na własnej ukochanej ziemi, we własnych czterech ścianach, z własnym Bogiem i odwiecznemi prawami, których nie wynaleźli ludzie, ale które wypłynęły z wiekowej praktyki.

Rolnik ma ziemię, robotnik warsztat pracy, inteligent taki czy taki zakres swego działania — każdego stawia Bóg czy prze-

znaczenie na pewnem miejscu, z którem się każdy zrasta. Ten życiowy krąg staje się najbliższym światem.

Uświadomiony obywatel opuszcza ten swój światek bez zastanowienia, ilekroć dzwon uderzy na trwogę i spieszy z pomocą. Poza zrozumiałym obowiązkiem wyciąga ludzi z chat podniosłe uczucie jakiejś zbiorowej przynależności i idących stąd dalszych zobowiązań czy wdzięczności. To uczucie każe im opuszczać widoki na przyszłość, wygody, beztroskę danego dobrobytu; narażać się na niebezpieczeństwa, śmierć, kalectwo i mękę niepowodzeń walczącego żołnierza.

W uświadomionych społeczeństwach niema przymusu w takich chwilach, a w Polsce najlepszym tego dowodem dawna dobrowolna powinność pospolitego ruszenia, a dziś ochotnicze armje w polu i jakby druga armja pracy na tyłach bojowych. Rozkaz mobilizacyjny obejmuje tylko szczegóły, wymienia kary za niestawienie się do szeregu, dopiero na samym końcu, na ostatniem najpodrzędniejszem miejscu, jakby ze wstydem, że i to dla reguły musi być umieszczone.

Znów ilustruje tę ochotę posłuchu na każde zawołanie Ojczyzny inny, dobrze znany plakat. Na jakimś ostatnim wale obronnym, okalającym serce Polski, stoją w jednym szeregu: regularny żołnierz, inteligent-ochotnik, czerwony robotnik i nieufny egoistyczny chłopek, a wszystkich łączy wobec nawały wroga jedna myśl i jedno poświęcenie.

Czem jest skuteczność walki w obronie własnej ziemi, dowodzi fakt, stwierdzony przez dokładne wywiady, że bolszewicy po przejściu Bugu, a więc po wkroczeniu w rdzennie polski kraj, byli w swoich ruchach dziwnie skrępowani, ich dowództwom brakło fascynujących słów podniety, krasnoarmijec czuł, że zrobił krok niewątliwego bezprawia i nietłumaczącego się gwałtu.

U nas rzeczywiście broniono prawie że już ostatniej piędzi ziemi do upadłego, bez cienia zwątpienia; nikt ze społeczeństwa nie opuścił kraju przed potopem, walącym przez przerwane groble szczupłych sił.

Podobno najprzykrzejszem uczuciem dla człowieka jest trzęsienie ziemi. Ludzie przyzwyczajeni do stałego gruntu pod nogami, przyrośli do tej umiłowanej najpewniejszej matki-ziemi, doznają pomieszania zmysłów z chwilą, gdy ta prawieczna podstawa wszelkiego bytu usuwa się z pod nóg, kiedy to, co stało od pamięci ludzkiej, zaczyna się chwiać, znana powierzchnia momentalnie zmieniać.

I to straszne uczucie przychodzi mi na myśl, ilekroć widzę uciekinierów z tego bolszewickiego trzęsienia ziemi, szukających schronienia u nas. Czemu ci nieszczęśliwi a obcy nam mową i duszą chronią się pod nasze prawa, co ich wypędza z domów i zmusza do udania się na drogę ostatniej nędzy.

* * *

Pierwotną jednostką, tworzącą jak długo świat stoi podstawę społeczeństwa, jest rodzina. Jej ustrój nie uległ od człowieka jaskiniowego prawie żadnej zmianie. Istnieją wprawdzie nawet pisane prawa, wchodzące w życie rodzinne i regulujące stosunek danych jej członków, ale te prawa nie są wymysłem ustawodawców, nakazem ludzkiej siły, przez nikogo nie były narzucone, przeciwnie, stworzyła je sama rodzina w obronie swej egzystencji i dla swego pojedyńczego dobra, uwzględniając wszelkie konieczności. Praw tych, jak świat starych, nie przerobił ani gorączkowy postęp, ani kultura, nic nie potrafiło zmienić poszanowania dla wieku, uznania godności głowy rodziny, zlekceważyć związków krwi, wyrugować tradycji rodzinnej. Stoją te praojcowskie zakony jak filary, na których opiera się porządek rzeczy.

Więc te sprawy najosobistsze, zatem najważniejsze, nie wymagają wcale nowacji. Nikt też dotychczas nietylko nie ważył się, ale nie miał najmniejszego powodu zaprowadzać nowych norm w stosunku rodziców do dzieci i odwrotnie, nikt nie wpływał na osłabienie lub podniesienie poczucia przynależności między rodzeństwem, nikt się dotąd nie użalał na niedostateczność takich wzajemnych konieczności.

Wątpię, czy i najgenialniejsi apostołowie nowego porządku świata zdołają kiedykolwiek przekonać matkę, że społeczne wspólne zakłady wychowawcze, urządzone według wymogów najkulturalniejszych pedagogiki, zdołają zastąpić jej czujną opiekę nad dzieckiem — czy natury ludzkie, z któremi przychodzi się na świat, te przyrodzone temperamenty, usposobienia dają się zmierzyć obliczeniem statystycznem — czy ogół da się kiedy nagiąć choćby tylko do próby urobienia idealnych obywateli państwa za pomocą ryzyka utracenia osobistego szczęścia.

Ustrój podstawy społeczeństwa — rodziną — jest chyba skończony, bo oparł się wszystkim przewrotom, jakie kiedykolwiek nurtowały ludzkość.

Idąc dalej, dojdziemy do pojęcia Ojczyzny.

Kilka rodzin łączy się w gminy, te w większe jednostki, do wszystkich zaś stosują się całkiem jednakowe wymagania bytu. Gminy łączą się w kraje, o różnej ilości takich właśnie samoustrojów, jak rodzina, a wszystkich łączy ten sam sposób życia i najsilniejszy kit — jedna i ta sama mowa. Przynależność do tego samego kraju, do jednakowego sposobu życia i bycia, do jednej dla wszystkich mowy, wywodzi się z uczuć całkiem pojedyńczych, jak związek krwi.

Ojczyzna, to jeden wspólny dom, ta sama wspólna myśl, jedno równoczesne tętno serca całego narodu.

Dzisiejsze pokolenie nie wyrzeknie się z pewnością poczucia przynależności narodowej, bo z pamięci nie da się wymazać tych najwznioślejszych uczuć, związanych z pojęciem Ojczyzny. Naszym dzieciom trzebaby chyba stwarzać nowe podręczniki szkolne i uczyć je nowych pojęć na zupełnie innych niż obecne przesłankach. A dla przedmiotów upodobania lub uczucia nie potrzeba podręczników, książką jest każde słowo, podane z ust do ust, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Udowadnia to historja zachowania się prastarego języka i zwyczajów ojców u Sasów w Siedmiogrodzie, na tej wyspie gotyckiej wśród madziarskiego morza; widzimy to samo u Niemców w południowej Krainie; o tem samem przekonuje nas statystyka, tak licznie po Polsce rozsianych kolonij obcoplemieńców.

Jakiż więc sens ma zmusić człowieka do wyrzeczenia się języka, który usłyszał pierwszy raz przy rozbudzeniu się zmysłów i w którym uczył się nazywać swoje niemowlęce dobro i zło — ?

A odmienność narodów — ? tu południowiec: żywy, wybuchowy, mało dokładny, tam człowiek północy: zimny, powolny, ścisły. Tego i tamtego inaczej obdarzyła natura, inaczej ukształtowała walka z siłą żywiołów. Te różnice grały decydującą rolę w zajściach ludów z ludami; ludzie jednej krwi, jednego sposobu myślenia i życia, jednych i takich samych przyzwyczajeń — skupiali się razem, a tam, gdzie nie było naturalnych gieograficznych granic, stwarzali sztuczne. Kto nie mówił tą samą mową był już obcy, inny, a obawa fizyczna, często nawet fizjologiczny wstręt nakazywał wznosić chińskie mury na punktach styczności plemion.

Teraz w świat rzucono hasło internacjonalizmu. To słowo i mnie dało wiele do myślenia. Może palnę wielki nonsens, gdy powiem, że w tej idei nie widziałem nic innego, tylko dalszy umodernizowany ciąg chrześcijanizmu. Życie bez uprzedzeń, obracanie

się po ziemskim globie, jak u siebie w Małopolsce, z niejako wolnym wstępem wszędzie, bez wszelkich nawet rzeczowych trudności przy przekraczaniu granic, pewnie rozszerzyłoby horyzonty. Tak myślałem dawniej, dopóki mnie nie przekonało niejedno doznane upokorzenie, że w każdym narodzie są sanktuarja myśli zamknięte i na zawsze nieprzystępne dla obcych.

Jeszcze jeden przykład. Po odzyskaniu wolności i zrzuceniu obcego jarzma zaczęto w Polsce istną nagonkę na obcych, pozostających w naszych progach, między nimi nawet zasłużonych dla naszej sprawy. Dlaczego nie rozumiano, że ci ludzie chcą żyć na równi z nami pod jednem słońcem, że ich dzieci już nie umieją mówić i czuć inaczej jak po polsku —? Opinja publiczna wystąpiła zawzięcie wrogo nietylko przeciwko rzeczywiście obcym, tak zwanym „przybłędom", ale wyszukiwano i ogłaszano w prasie nazwiska niepolskie, lub polskie złośliwie przekręcano i podejrzywano. Dość długo trwało to rozpętanie szowinizmu. Tak, jakby ktoś, co nie opanował do najwyższego stopnia djalektu z Mazowsza, nie miał prawa do oddychania polskiem powietrzem.

Szowinizm, to przesadzony patrjotyzm. A czy nie istnieje on u ludzi najmądrzejszych, kto jest wolnym od niego? czemże jest antysemityzm —? więc znów coś prawie wrodzonego, co się nie da usunąć z dziś na jutro. Czy zwalczy go internacjonalizm?

Im więcej ten obiecuje zniesienie przesądów narodowościowych, tem więcej skupiają się szeregi społeczeństwa w obawie, by im nie wydarto ich chluby — historji. Stanąwszy tylko na gruncie idealnie pojętej polskości, wygraliśmy wojnę, prowadzoną nie tylko ogniem i mieczem. Wszystkie ostre pociski nowej nauki odbiły się od tarczy owego rycerza z historji, nie przebiły zbroi dawnych ideałów, nie zraniły duszy narodu, która przebyła ciężką niemoc rozpaczy podczas walk porozbiorowych, hańby wiekowej niewoli i niebezpiecznych systemów wynaradawiania.

Dziś znów w tej szowinistycznej Polsce znajdują schronisko uciekinierzy wszechnarodowości i wszechwyznań, którym kataklizm dzisiejszy spalił dach nad głową. Znów Polska daje przytułek nawet swym wrogom, którzy, jak ta przysłowiona żmija, wylęgać będą na jej gościnnem łonie plany do jej zniszczenia. Jak wiadomo w Warszawie bawi kilku wybitnych myślicieli rosyjskich, w pismach których nie znalazło się nigdy słowo szczerego uznania dla Polski 63-go roku, walczącej pod sztandarem „za naszą i waszą wolność". W stolicy Polski przebywa swobodnie część „przy-

szłego" rządu rosyjskiego, czekając przeminięcia czerwonej burzy, a dla tych ludzi kwestja naszych wschodnich granic nie jest jeszcze ostatecznie załatwioną, Ci widzą w naszej odzyskanej i przez świat uznanej suwerenności dalej jedynie „kraj priwislańskij".

Nasze granice muszą się stać chińskim murem dla internacjonalizmu, którego samo tchnienie kala kwiat naszego najwyższego uniesienia — miłości Ojczyzny.

Poza koniecznością przystąpienia do międzynarodówki, głosi bolszewizm, że dobro ogółu wymaga zmiany ustroju społecznego od samych podstaw. Jednostka zaślepiona w swym światku — rodzinie, staje się w swej mieszczańskiej szczęśliwości nieczułą na dolę drugich. I tu bolszewizm nie uczy zgoła nowych zasad. Wszystkie religje świata nakazują w imię Boga podporządkowanie się dobru ogólnemu, prawa wszystkich państw i rządów, począwszy od przykazań Mojżeszowych, mają na celu ochronę pojedyńczej egzystencji dla dobra ogółu.

Największego przewrotu w świecie dokonała idea Chrystusa, a to da się ująć w jedno przecudne słowo: „miłość bliźniego". Tę ideę przyswoiły sobie wszystkie społeczeństwa i wszystkie narody globu ziemskiego. Czy nawet te dziś decydujące ciężkie warunki ekonomiczne uzasadniają wyrugowanie tej jedynej, boskiej myśli?

Miłości nie zastąpi nienawiść, bezwzględność litości, a samarytanizm człowieka XX wieku stwarza asyla nawet dla cierpiącego świata zwierzęcego. W najkulturalniejszem, a zarazem najtrzeźwiejszem społeczeństwie — w Anglji, zakazano wiwisekcji, bo męka nikłego zwierzątka nie przyspieszy rozwoju nauki. Cała dzisiejsza epoka, to praca według drugiej wzniosłej myśli o swobodzie życia.

Popełnione przez wieki bezprawia były — mojem zdaniem — skutkiem trudności porozumiewania się ludzi i braku niewynalezionych sposobów samoobrony. Nie było za dawnych czasów pojęcia i poczuwania się do społeczeństwa, do narodu. Obywatel z nad północnej granicy danego państwa zupełnie nie wiedział, kto mieszka na południu ojczyzny. A dziś jedną i tę samą książkę, gazetę czytają wszyscy równocześnie i każda myśl staje się równocześnie udziałem wszystkich. Spotykając krajana z Kieleckiego, czy z pod Lwowa, ma się zawsze jedno uczucie — to Polak. A czy to uczucie da się zastąpić terminem: „towarzysz"? —

Quod capita, tot sensus — ile głów, tyle zapatrywań. Gdy się w głowie jednego obywatela urodzi jakaś nadzwyczajna myśl,

to oddaje ją sądowi publicznemu do oceny. Nikt teraz nie stosuje teroru Piotra Wielkiego, reformującego swój naród, niema Józefa II, ukracającego edyktami rozwielmożnioną władzę Kościoła. Dziś, by zaprowadzić ten czy ów przymus, potrzebną jest zgoda wszystkich. Niema już w Europie państwa, gdzieby dyktowano prawa bez poddania go badaniom społeczeństwa, a stało się to bez bolszewizmu. U nas w nowej Polsce, „Ustawodawczy Sejm“ — oparty na bezwzględnie wolnym wyborze, nie nosi fałszywej nazwy, czego dowodem szereg tak postępowych reform, na jakie się jeszcze nie zdobyły społeczeństwa o wiele wyższej niż nasza cywilizacji.

W bolszewji niema zupełnie ciała ustawodawczego, tam po absolutyzmie caratu zapanował czerwony despotyzm; reformy, wypływające z konieczności nowego systemu, egzekwuje bezwzględny teror. Dziś prawie we wszystkich państwach zniesiono karę śmierci, lub ją ograniczono do minimum, nigdzie wyroków na pozbawienie człowieka życia nie wydaje osoba, w bolszewji po zniesieniu samorządu fabryk i organizacyj przemysłowych, zaprowadzono władzę komisarzy z nieograniczonem prawem pozbawienia możności zarobkowania, wydalania, a nawet prawem karania śmiercią każdego, wyłamującego się z pod rygoru. Przeniesienie takiej tyrańskiej władzy na jednostkę jest zaprzeczeniem wszelkiej cywilizacji i powrotem do najciemniejszego barbarzyństwa.

Przypatrzmy się kwestji wyznaniowej. Na całym świecie wolność wyznania zagwarantowaną jest przez pojęcie człowieczeństwa. Nawet wojna ze swem rozpasaniem dzikości nie burzyła domów modlitwy, dokąd człowiek chował obraz swego Boga. W Rosji zniesiono ochronę religji, przynależność do którejkolwiek z nich naraża na podejrzenie o nieprawomyślność czerwoną. Bo „prawdziwy towarzysz“ musi być wyzwolony z ludzkich przesądów. Jak by ten lub ów Bóg, noszony w duszy ludzkiej, był niebezpiecznym wrogiem danego kierunku politycznego. W bezdennej głupocie, w szatańskiej poprostu konwulsji niszczycielstwa burzy ten sam lud, który niedawno temu czcił bałwochwalczo swoje ikony, wszystko, co ludzkie uniesienie wzniosło swemu Bogu na chwałę. Rozsypują się w gruzy odwieczne świątynie, wytwory genjuszów, zbiorowiska wykwintu wszelkiej sztuki, te dokumenty stopniowego rozwoju kultury.

I wolność słowa ustała w Rosji w zupełności. U nas istnieje więcej kierunków prasy przeróżnego rodzaju, jak ją nawet strawić

zdoła czytający ogół, nawet przeciwnie, u nas grasuje chorobliwa tolerancja, manja, nie krępowania nikogo w wypowiadaniu się. My przesadzamy grubo pod tym względem, bo poziom umysłowy narodu nie stoi w danej chwili w żadnym stosunku do istniejącej publicystyki.

Przypominam sobie gdzieś dawniej czytane przedstawienie wolności słowa w Anglji, która, według dzisiejszych pojęć, należy do starej, „białej" części świata; tam istnieją po placach, publicznych ogrodach, mównice, z których wolno każdemu mówić co komu się chce, a zdrowia i całości mówcy pilnuje policjant i staje zarówno w obronie przemawiającego anarchisty, jak i przedstawiciela zakostniałego konserwatyzmu. Czyż nie idealnie pojęta swoboda słowa? — Słuchający wyrabia sobie sam sąd, a różne ujęcie danego tematu służy właśnie do otwierania oczu i wyklucza wszelką inspirację.

W Rosji władza sowietów zdusiła wszystkie pisma, które nie poszły na służbę bolszewizmu. Ważna gałąź cywilizacji — dziennikarstwo upadło zupełnie. W pozostałych nielicznych pismach komunistycznych roi się od psiej zawiści przeciwko wszystkiemu, co nie chce lub nie może zginąć z druzgotanym dawnym światem. Książek, oprócz uświadamiających gwałtem broszur lub zestawień statystycznych, nie drukuje się wcale. Tysiące ludzi nauki, tak zasłużonych dla społeczeństwa, genjalnych, oderwanych zostało od pożytecznej pracy, tysiące najświatlejszych głów rosyjskiego narodu wyemigrowało i ginie z nędzy na obczyźnie. A chłopu, robotnikowi, wpaja się w nieprzygotowane mózgi teorje poczęte na innym niż dusza rosyjska gruncie i wmawia weń konieczność wspólnoty tych rzeczy, któremi się on nigdy i z nikim nie podzieli. Komunizm, wytwór środowisk wyłącznie przemysłowych, nie uszczęśliwi Rosji, raczej ją zgubi ostatecznie.

Ciała ustawodawczego sowdepja nie posiada wcale. Tam posłów-przedstawicieli wszystkich warstw i klas narodu zastępują komisarze, kształceni specjalnie do swego zawodu, posiepacze czerwonej idei. Niema żadnych fachowych komisyj, tam odmienne sprawy traktuje się ryczałtem despotyzmu, ukazy obmyślane w Petersburgu regulują stosunki na Krymie i nie indywidualizują odmiennych warunków, nawet klimatycznych. Ta forma dzisiejszej Rosji, która miała być apoteozą wolności, a przekształciła się w najidealniejszy absolutyzm, robi dla każdego myślącego, nawet nie uprzedzonego człowieka, bolszewizm zgoła bezkrytycznym.

Przypatrzmy się teraz najsmutniejszemu objawowi bolszewizmu. Zaraz z początkiem przewrotu rozległ się w Rosji dziki, wszystko inne zagłuszający, krzyk: Dołoj gramotu, dołoj burżuje, śmierć tym, co należeli do klasy pracujących umysłowo. Czego nie rozdeptały zaraz z początku bandy bezkarnie grasujących huliganów, kogo z inteligencji nie zmiótł mord uliczny i napad na dwór, kto nie utonął w tem morzu krwi, ten został skazany na powolne konanie w upokorzeniu na służbie czerwonego antychrysta.

Jak długo świat stoi, sprawa ludu była na nieustającym porządku dziennym. Sięgnę trochę wstecz do najbardziej wszystkim znanej rzeczypospolitej rzymskiej. Rzymianin o wybitnym zmyśle politycznym, pierwszy uznał siłę masy, jaką w każdem społeczeństwie stanowi lud i w zrozumieniu tej siły nadał mu wyjątkowe prawa. Z czasem prawa te, w pewnych kierunkach wprost idealne, uległy konfiskacie przez późniejsze prądy polityczne — i może zejdę na zupełnie inny, a tym szkicem nie objęty temat, gdy powiem, że nadzwyczaj dziwnem zjawiskiem jest, że właśnie rozwinięcie się chrześćjanizmu jako idei, najbardziej stojącej w obronie uciśnionych, światu wolności nie przyniosło, przeciwnie, do dziś trwającą niewolę.

Dlaczego ów niczem od innych nie różniący się naród rzymski, „popolus romanus“, mógł rzeczywiście posiadać grozę i siłę swego majestatu? — Bo masa znalazła wymowność przez usta swych prześwietnych trybunów. Lud zaś sam, to ogromny milczący głaz-niemowa. Drzemie od wieków bez świadomości swego istnienia. W tym głazie wrze silne życie, ale szorstka skorupa nie zdradza jego przejawów. Dopiero od czasu do czasu wydobywają ludzie o wyjątkowym słuchu, najczulszem sercu historję jego prastarego cierpienia, ubierają je w boskie słowa i rzucają w świat. Ci ludzie stają się kapłanami zakutego w milczenie tajemniczego, odwiecznego istnienia, czcicielami ukrytego wiecznie płonącego ognia.

Owi trybuni prześwietni, nasi Mochnaccy, Mickiewicz i tylu innych, są cząstką nieoderwalną ludu, jego kwiatem, stoją zawsze w jego szeregu, a nie na uboczu. Oni zań posiadają świadomość, zań wymowność, i cierpią za miljony.

Całą prawdę o ludzie wiedzą oni, a nie on sam. —

A czyż mało przykładów ideowego wejścia w lud z dzisiejszej i dawnej historji — Kościuszko, dyrektorjat 63 roku, dziś Wyspiański i inni?

Ludzie ci o najsubtelniejszych duszach, pielęgnowanych rękach, nawet o wykwintnym stroju, umią znaleść cierpienie tej od wieków chorującej masy, oni poczuwają się najszczerzej do najprawdziwszej demokracji, oni są jej źle, bo niewdzięcznością płaceni adwokaci. Oni są ludem, a nie ci bosi, obdarci, brudni, niepotrzebni szermierze jego najsprawiedliwszej sprawy. Ci ostatni to burżuje, którzy przez noce św. Bartłomieja dochodzić chcą do upragnionego a nigdy im nie przysługującego „państwa". Prawdziwy chłop, rzetelny robotnik nie zazdrości nikomu, nie pragnie w danej chwili zmiany trybu swego życia, — nie popcha go źle zrozumiana wolność na pierwsze miejsca na życiowej arenie.

Ów głaz milczący, odwieczna tajemnicza siła potrzebuje uczonych, rozumnych przedstawicieli. Tych ludzi tępi dziś w Rosji ciemna, bezmyślna fala bijąca od spodu. I już po pierwszej fazie niszczycielstwa przyszło późne zrozumienie, że właśnie lud musi mieć rzeczników swej sprawy, mających jego pełnomocnictwo. Wygubionych przodowników swych własnych idei, swej nauki i sztuki stara się dziś rząd samozwańczy zastąpić surogatem. Miejsca owych kapłanów zajęły przeróżne charaktery z pod ciemnej gwiazdy; jak to wielokrotnie sprawdzono, dawni posiepacze caratu, żandarmi, panowie z ochrany i tajnych departamentów, przez noc stali się przodownikami w walce o swobodę. Zabrakło tego studenta-męczennika, który w wytartem ubranku, ale w owym charakterystycznym dla burżuazji kołnierzyku, szedł ze słowem wiedzy na przedmieścia stolic, tułał się w przebraniu po wsiach, mieszał się w tłum robotników fabrycznych, nie żądając niczego w zamian, jak tylko ziszczenia się jego snów o szczęściu człowieka. Niema tego medyka, który podczas strasznych epidemij szedł na ofiarę nieludzkiej ciemnoty. Zginął i ten nauczyciel ludowy, który przez całe swe biedne życie nie doznał ani razu zrozumienia, że znajomość czytania i pisania ważniejszą jest, niż skomplikowana sztuka wypasania bydła gromadzkiego na dworskim. Znikły podziemne komitety, walczące na śmierć i życie z przemocą, dawniej reprezentowaną przez carat, zapodzieli się gdzieś owi szmuglerze zakazanej „bibuły" — a wszyscy ci gramotni burżuje, to nic innego, jak lud, zań uświadomieni, za niego czujący i zdający sobie sprawę, za niego cierpiący i ginący po wszystkich katorgach.

Miejsce tych ideowców zajął komisarz, przeważnie żyd, który nigdy nie należał do społeczeństwa, którego z ludem nic nie łą-

czyło, prócz egoistycznego interesu, który właśnie nie dźwigał ciemnoty tej masy, ale ją skrzętnie wykorzystywał — nigdy się nie asymilował, przeciwnie, czuł się zawsze w tym ludzie przejściowo. Wcale nie łagodzi rzucającej się w oczy ohydy tego obrazu tłumaczenie, że żydzi, pozbawieni w dawnej Rosji równouprawnienia, dziś samo przez się musieli zdobyć ogólne prawa i dla jakiejś nieuzasadnionej rekompensaty stanąć na czele masy. Ich dzisiejsze apostolstwo jest samozwańczem i przeminie w jakimś strasznym odwecie gniewu społeczeństwa z chwilą, kiedy Rosja nie stanie się rajem swobody ale pastwą dla głodu, grobem dla swej kultury, terenem obcego wyzysku.

Jakże inaczej traktuje się wszędzie poza Rosją problem osobistego szczęścia. Weźmy znów dziś najaktualniejszą kwestję. Statystyka wykazuje ilość bezrolnych, tych najwięcej niezadowolonych, bezdomnych i ich stosunek do posiadających nadmierne obszary. Rządy postępowe szukają najprostszego sposobu wyrównania istniejących jeszcze bez kwestji niesprawiedliwych różnic w stanie posiadania. Ten tęskniący od wieków do własnego kawałka ziemi fornal czeka jednak cierpliwie, wiedząc, że natychmiastowe rozgrabienie wielkich majątków sprowadziłoby klęskę niedoborów, tymczasem ludzie wybrani, myśliciele bez klasowych przesądów, łamią sobie głowy nad zagadką rozdziału ziemi. A na czem polega ważność tej sprawy — czy ten polski głód ziemi nie jest wprost zaprzeczeniem komunizmu? — Wszystko da się uogólnić, skomunizować, tylko nie ziemia. Gospodarstwo nie jest ani zawodem, ani warsztatem, żadnem następstwem dociekań ekonomicznych i społecznych, jest odwiecznem prawem człowieka, któremu Stwórca nie dał skrzydeł ptaka, lecz przeciwnie, przykuł go do ziemi na wieki.

Wojna tyloletnia, która zmieniła szereg pojęć, która przekształciła różne wartości, obaliła poglądy, nawet podkopała do reszty znaczenie i wpływ religji, wydobyła jeden ciekawy objaw, który staje się obecnie kluczem do rozwiązania problemu polskiej biedy. Każdy człowiek, który usiłował uniknąć zagłady przez fale przesuwających się przez ogromne przestrzenie armij wojującego świata, kto nie chciał zginąć z głodu w pustkach pozostających po tej wędrówce uzbrojonych narodów, osiedlał się. Wzbogacony dostawca, spekulant, paskarz, lichwiarz, urzędnik ze swych życiowych oszczędności, robotnik ze swego krwawego dorobku — wszyscy kupowali choćby kawałeczek ziemi, nabywali swoje własne

malutkie miejsce na ogromnej ziemi, by tylko uzyskać to odwieczne prawo szanowane bez wyjątku na całej kuli ziemskiej, rozpalenia swego ogniska.

Swym najzasłużeńszym żołnierzom, kawalerom orderu Virtuti militari, Polska obiecała w nagrodę za ich trudy ziemię. Czy może Ojczyzna lepiej nagrodzić? — Zasłużonym ludziom wiedzy, nauki darowywało społeczeństwo w dowód uznania na własność znów ziemię — (Sienkiewicz, Konopnicka) — dawano zatem to, co jest dla człowieka najwyższem dobrem.

Komunizm chce ziemie upaństwowić, odebrać pracy na niej urok błogosławieństwa, chce człowieka zrobić cyganem, któremu wszystko jedno, gdzie postawi namiot, chce go uczynić podobnym do ludu Izraela, tułającego się w mistycznem przekleństwie po całej ziemi i nigdzie nie znajdującego spokoju. Prawo i siła ludu opiera się na ziemi — a w Polsce jest 90% społeczeństwa właśnie chłopstwem. Czy może przemówić do polskiego chłopa ta nowa dziwna idea wyrzeczenia się ojcowizny?

Wspomniałem o dawnej Rzeczypospolitej rzymskiej. Czy jej ustrój państwowy nie opierał się na tych samych zasadach jedynowładztwa ludu, które dziś głosi bolszewizm, czy jest zatem bolszewizm czemś nowem, ludzkości dotąd zupełnie nieznanem i mogącem dać gwarancje, że nie przeminie, nie zmieni się z biegiem czasu i wobec jeszcze nieprzewidzianych wypadków dziejowych.

Obywatel największej republiki świata, Stanów Zjednoczonych, robotnik czy farmer, miljarder czy kelner, śmiało podaje rękę swemu prezydentowi w Białym domu w Waszyngtonie. Polski włościanin z pod Rzeszowa bierze czynny udział w naradach wydziału powiatowego, zabierając głos na równi z szlacheckim marszałkiem w ogólnych sprawach powiatu. W Sejmie polskim pracuje z wysiłkiem tak szereg najlepszych głów społeczeństwa, jak i prostych chłopów nad jak najszybszą odbudową kraju. Całe społeczeństwo ma skierowaną myśl tylko w jedną stronę i jedno hasło: budować, nie niszczyć! — A w bolszewji?...

*
* *

Idzie zima, przysypie śniegiem przebyte bojowe szlaki, zatrze, wygładzi ślady zniszczenia, przykryje wszystko chwilowym całunem zapomnienia o przebytych nieszczęściach i ogromnem zmaganiu się całego narodu o utrzymanie odzyskanej wolności — niech nie uśpi naszej czujności! Słowa pokoju, wymawiane przez delegacje

bolszewickie, nie brzmią nutą prawdy; — o tem wie każdy, każdy to wyczuwa, że czerwony huragan, który zdruzgotał dotychczasowy porządek rzeczy i rozniósł szczęście miljonów ludzi, jeszcze nie minął.

Dlatego żołnierz polski stanął na nareszcie ustalonej granicy i czeka z bronią u nogi, śmiało patrząc w mroczną jeszcze przyszłość.

Za mglistemi oparami bagien poleskich, za zimowemi, śnieżno białemi tumanami nadchodzącej zimy, płonie na wschodzie dalej groźna, czerwona łuna.

FELIKS FIDZIŃSKI.

Szkoła a fizyczne odrodzenie kraju.

Obecnie — mimo że nie wszystkie jeszcze granice naszego państwa są już definitywnie oznaczone i utrwalone — staje przed nami ciężkie napozór zadanie budowania gmachu państwa przez owocną pracę w szerokiem tego słowa znaczeniu nad wzbogaceniem kraju i nad odrodzeniem fizycznem tegoż, przez pracę wogóle w szerokiem tego słowa znaczeniu, zarówno co do ilości, jak i co do jakości wydajną. Wiadomo zaś, że wydajnie pracować może tylko jednostka zdrowa i silna zarówno fizycznie jak i duchowo, bo ta tylko, opierając się właśnie na swojem zdrowiu i siłach fizycznych z jednej, z drugiej zaś strony na zdrowiu i siłach duchowo-umysłowych, to jest na wykształceniu umysłowo-praktycznem, może pracować, to znaczy tworzyć i wydawać samodzielnie, a nie odtwarzać i naśladować.

Do pracy zaś nad wypełnieniem tego najświętszego dla nas obowiązku względem naszego kraju, jesteśmy chyba wszyscy bezwarunkowo zobowiązani.

Jest to zaś praca dziesiątek lat i kwestja kilku pokoleń i dlatego należałoby zacząć ją od tych, którzy jeszcze nie umieją pracować i tych uczyć wydajnie pracować, budzić w nich od zarania młodości zaufanie we własne siły i uczyć ich — a nawet kazać im — wydawać tylko z siebie i tylko samodzielne zawsze wszystko, a nie przyzwyczajać ich do pracy odtwórczej, naśladowczej.

Łatwo zrozumieć, że mam tu na myśli naszą młodzież. Ona to w pierwszym rzędzie jest powołaną do fizycznego odrodzenia kraju, jako zasobna jeszcze w świeże siły. Trzeba tylko nauczyć ją pracować. Winny zaś robić to dom rodzicielski i szkoła, bo one wychowują i kształcą młodzież.

Na innem miejscu omówię sprawę stosunku domu rodzicielskiego oraz rzemiosł do fizycznego odrodzenia kraju, a tutaj zajmę się zadaniem szkoły naszej średniej do fizycznego odrodzenia kraju.

Celem szkoły jest wychowanie zdolnych i rozumnych obywateli. Wychowywać zaś, to znaczy budzić i powoływać do życia uśpione władze człowieka. Bez tego nie doszlibyśmy nigdy do niezależności w życiu, mimo że sam Bóg ustanowił rozwój prawem ludzkości oraz przyrody. Wychowanie nie powinno jednakże kształcić jedynie samego charakteru, ale wyrabiać siłę woli i jej stałość oraz samodzielność i szczerość w ukochaniu ideałów. Powinno ono rozszerzać dążenia poza osobiste cele i wciągać jednostkę jako świadomego, ufnego w swoje siły, dzielnego oraz samodzielnego współpracownika do pracy nad dobrem ogółu.

Innemi słowy, celem wychowania winno być kształcenie tych wszystkich czynników szczęścia, jakie tkwią w organizacji i psychicznej i fizycznej każdego z nas.

Zadanie to swoje w stosunku do fizycznego odrodzenia kraju będzie szkoła wypełniać przedewszystkiem na polu pracy umysłowej, jeśli tylko szczerze i z zamiłowaniem popierać będzie wszystkie wysiłki t. zw. „wybijających się“ przez zbliżenie się do nich i otoczenie ich w danym wypadku szczególniejszą opieką. To atoli nie wystarcza. Winna jeszcze szkoła pomagać i ułatwiać im specjalizowanie się w przyszłości, skierowując takich odrazu na właściwe tory naukowe. To ułatwi im pracę z jednej strony i przyspieszy, a z drugiej będzie dla nich bodźcem do dalszej i jeszcze intenzywniejszej pracy, tem więcej, jeśli szkoła będzie im wskazywać naukowe środki pracy i ułatwienia, jeśli od samego początku wskaże im sposoby naukowego samodzielnego opracowywania kwestyj i zagadnień naukowych, jeśli będzie kontrolować tę ich pracę aż do czasu opuszczenia przez nich gmachu szkolnego.

Na polu tedy nauki przysłuży się szkoła nasza fizycznemu odrodzeniu kraju, gdy silniej, niż dotąd, uwzględniać będzie pojedyncze, indywidualne specjalne uzdolnienia i skłonności, gdy

takie wyszkoli na zupełnie samodzielnych pracowników na polu nauki, bo tylko tacy potrafią zrozumieć i pojąć otaczające ich: naturę i społeczeństwo. Będą bowiem do tego przygotowani.

To byłaby atoli dopiero praca jednostronna, praca nad charakterem. A obowiązkiem szkoły jest przecież pracować i równocześnie nad zdrowiem i siłami fizycznemi młodzieży w imię hasła: „W zdrowem ciele zdrowy duch!", skoro do każdej pracy musimy być uzbrojeni w siły czy fizyczne (do fizycznych), czy duchowe (do duchowych). A przecież zdrowie oraz fizyczne siły stanowią podstawę dla sił i pracy duchowych. Obowiązek ten wymagałby od szkoły dla naszego celu, by na sprawę zdrowia i sił fizycznych młodzieży, t. j. na jej wychowanie fizyczne, jego cele i środki zwróciła — jeśli już nie równomierną z wychowaniem umysłowem — to przynajmniej większą, aniżeli dotąd uwagę. Powinnaby zatem przedewszystkiem wprowadzić w plany lekcyjne dla każdej wogóle szkoły ćwiczenia cielesne oraz gry i zabawy na wolnem powietrzu obowiązkowo i to dla wszystkich bez wyjątku pod kierownictwem fachowego nauczyciela — zapoznać się ogólnie ze środkami wychowania fizycznego — starać się o nie, o ich całość oraz używalność — trwale zachęcać młodzież do brania czynnego udziału w szkolnych ćwiczeniach gimnastycznych, odwodzić ją od zasłaniania się świadectwami lekarskiemi, uwalniającemi (czasem dla bardzo ciekawych powodów — sprawę tę omówię w osobnym referacie) od ćwiczeń, zachęcać do zawiązywania szkolnych drużyn sportowych i wspierać wszelkie wysiłki młodzieży w tej materji bądź moralnie, bądź materjalnie.

Im więcej bowiem będzie fizycznie zdrowych i silnych, tem więcej będzie i sił duchowych, tem więcej będzie samodzielności, której fizyczne odrodzenie naszego kraju obecnie jak najwięcej potrzebuje.

To są dwa najważniejsze etapy pracy szkoły nad młodzieżą dla odrodzenia kraju: samodzielność umysłowa oraz trwała i wytężona opieka nad zdrowiem fizycznem i siłami ciała, t. j. samodzielność fizyczna.

Szczegóły konsekwentnego przeprowadzania wymienionych etapów musi sobie szkoła sama razem z gronem swojem układać. Pracę tę zdają się atoli ułatwiać szkole: harcerstwo i warsztaty szkolne.

Harcerstwu bowiem chodzi przedewszystkiem w myśl swojej zasadniczej wychowawczo-twórczej idei — czego wymaga fizyczne

odrodzenie kraju — o „jakość“ ludzi i o wydajność ich pracy, a nie o „ilość“. Ma ono wyrabiać jednostki przez dzielną walkę z ich własną słabością i miłością bliźniego w imię i w poczuciu odpowiedzialności narodowej na jaknajróżnostronniej twórcze, spożytkowujące jedynie swoje własne siły, a nie przetwarzające owoce drugich. A to przecież jest zasadniczym warunkiem fizycznego odrodzenia kraju. Ale to dopiero jedna strona harcerstwa dodatnia.

Nie obcą też jest harcerstwu troska o zdrowie i siły fizyczne. Rozumie ono bowiem, że wychowanie fizyczne wzmacnia zarówno ciało, jak i ducha, i przeprowadza ćwiczenia cielesne oraz gry i zabawy, i uprawia sporty. Ale i nie na tem już koniec.

Wskazałem już w referacie p. t.: „Harcerstwo a fizyczne odrodzenie kraju“, że poznaje ono wartość samej pracy, która jest przecież podstawą naszego istnienia, praktycznie w warsztatach swoich i dla osiągnięcia t. zw. sprawności harcerskich i dla pracy samej, jako takiej. A przewodnią jego myślą w tem jest przygotować harcerza, by mógł w każdej okoliczności życia dać sobie sam radę, słowem, by ta jednostka fizycznie zdrową była, celowotwórcza, samodzielna i produktywna. A taką może być tylko wtedy, kiedy posiądzie silną wolę i będzie jaknajróżnostronniej twórczą. Jednym więc z dalszych środków harcerstwa w tej pracy nad jednostką jest praca fizyczna i znajomość rękodzieł, czego uczy w warsztatach swoich już to dla sprawności, już też dla owego poczucia odpowiedzialności narodowej, szerząc zamiłowanie pracy tego „fachu“ w naszym narodzie nie lubianego.

Ale i szkoła sama może ułatwić sobie pracę nad młodzieżą przez organizowanie u siebie warsztatów szkolnych, gdzieby przeważna część młodzieży — znowu przedewszystkiem „wybijająca“ się — mogła czynnie i praktycznie zaznajamiać się z rzemiosłami wogóle, a z jednem specjalnie. W ten bowiem sposób szerzyłaby szkoła kult pracy wogóle i nie pracowałaby jednostronnie nad młodzieżą, gdyż zajmowałaby się nietylko jej umysłem, ale przygotowywałaby ją i praktycznie do przyszłego życia, wyrabiałaby ją na samodzielną i twórczą. W warsztatach ściśle szkolnych powinnaby być zajęta młodzież nie pracująca w warsztatach drużyny harcerskiej, skoro celem tychże ma być puszczanie w świat młodych, obeznanych z pracą ręczną i ceniących ją z jednej strony, a potrafiących sobie poradzić o własnych siłach w różnych okolicznościach życia.

Praca przecież ręczna ma za zadanie uzdalniać przedewszystkiem każdego i przyzwyczajać do praktycznej działalności oraz rozwijać duchową stronę ducha ludzkiego. Ćwiczy ona i rozwija nietylko mięśnie, ale także i umysł, siłę woli i charakter. Pamiętać bowiem trzeba, że wszystkie czynności naszego organizmu — z wyjątkiem ruchów czysto fizjologicznych, którym świadomość nie towarzyszy — są równocześnie i fizyczne i duchowe, oraz że każda czynność cielesna wywołuje w naszej świadomości pewne zmiany.

Szkoła jeszcze nie powinna ograniczać się do pracy w warsztatach szkolnych, skoro może być propagatorką i innej pracy. Winna ona mianowicie szerzyć kult pracy fizycznej w polu, na roli, pracy na wolnem, świeżem powietrzu, w warunkach jak najlepszych i jak najzdrowszych dla młodych organizmów, przemieszkujących najładniejsze dni swojego życia w pokoju nad książką, w warunkach często gęsto nie nadzwyczajnych. To byłby jeden powód, dla któregoby szkoła powinna pracę fizyczną w polu propagować, a mianowicie ten, że tylko zdrowe i silne jednostki mogą wydajnie pracować dla fizycznego odrodzenia kraju — innemi słowy: wzgląd na zdrowie fizyczne młodzieży.

Drugi wzgląd jest raczej ideowy. Przez przyzwyczajenie mianowicie do znoszenia znoju pracy staje się dusza, zwłaszcza młodzieży, silna i męska. Sama zaś praca wyrabia w niej dążenie do cnoty.

Tak więc szkoła, harcerstwo i praca ręczna kumulują po części usiłowania swoje nad przygotowaniem młodzieży do fizycznego odradzania naszego kraju. Szkoła atoli — jako jedyna po rodzicach instytucja, powołana do pracy wogóle nad młodzieżą — winna dzierżyć w tej sprawie prym, tem więcej przecież, iż ona właśnie ma wyrabiać młodzież na jednostki i umysłowo i fizycznie samodzielne oraz twórcze, a w tej twórczości swojej zużytkowujące wyłącznie swoje siły i zdane li tylko na siebie samych. Winna tedy popierać umysłowe wysiłki wybijających się, dbać równomiernie o umysł i o ciało młodzieży, bo zdrowie i siły fizyczne są podstawą wszystkiego i nie pogardzać współpracą innych czynników, a więc harcerstwa i warsztatów pracy, to jest warsztatów szkolnych oraz pracy fizycznej w polu, ale otaczać je ciągle trwałą i wytężoną opieką, czuwać nad ich zamierzeniami odnośnie do młodzieży, służyć im radą oraz pomocą, by one pracowały razem z nią współmiernie, a nie rozbieżnie nad urabia-

niem młodzieży na jednostki jaknajróżnostronniej twórcze, opierające się zawsze na swoich jedynie siłach i swoje tylko, a nie drugich siły spożytkowujące i przetwarzające.

Im więcej takich jednostek przez siebie urobionych na celowo-twórcze potrafi szkoła puścić w świat, tem prędzej podniesie się dobrobyt ich, a równocześnie całego narodu, tem wcześniej nastąpi to, tak obecnie nimbem zakryte na długi czas fizyczne odrodzenie kraju. A skoro szkoła nasza okazała zawsze zrozumienie okoliczności i położenia, spodziewać się należy, że tem więcej teraz, gdy lada chwila już osiądziemy w ostatecznych granicach, przystąpi do dzieła urabiania młodzieży na jednostki jak najróżnostronniej wykształcone i tworzące, a nie odtwarzające, by po utwierdzeniu granic zmobilizować już armję pracy. Armja ta z młodych sił, ze zrozumieniem chwili i z całą energją i poświęceniem odda się pracy wytężonej nad fizycznem odrodzeniem kraju, oraz będzie przyświecała reszcie społeczeństwa naszego dobrym, jak do tej pory, przykładem.

DR. F. LEJA.

O pojęciu nieskończoności [1]).

W języku codziennym, a tak samo i w słownictwie naukowem istnieje wiele terminów i pojęć, których treść raczej intuicyjnie odczuwamy niż rozumiemy. Dość wspomnieć o przykładach takich jak „dobry“ lub „zły“, „drogi“ i „tani“, „uczciwy“ i „nieuczciwy“, wziętych z życia codziennego, lub o terminach takich jak „rzeczywistość“, „absolut“, „transcendentalny“, „artystyczny“ i t. p.

Znaczenie ich inne jest zwyczajnie dla jednych, a inne lub przynajmniej odmienne dla drugich, a zmienia się nawet nieraz z naszym stanem psychicznym. Toteż prace i traktaty naukowe, poświęcone już nietylko zagadnieniom życia społecznego, literatury lub sztuki, ale i naukom ścisłym, jeżeli nawet zrozumiałe są dla autora i czytelnika, to często, lub przynajmniej częściej niż się to zwykle przypuszcza, inaczej przez obydwu. Brak jednoznacznej terminologji i dostatecznie określonych pojęć prowadzi wskutek

[1]) Odczyt, wygłoszony w Towarzystwie filozoficznem w Krakowie, 9 czerwca 1921 r.

tego niejednokrotnie do grubych błędów i nieporozumień, a co za tem idzie utrudnia rozwój nauki.

Trudno się zresztą dziwić temu stanowi rzeczy. Z jednej strony w tworzeniu i interprectaji gotowych już pojęć współdziałają obok praw logiki przeróżne czynniki psychiczne w rodzaju intuicji, wyobrażeń, uczuć i t. p., z których niejednokrotnie trudno zdać sobie sprawę, z drugiej zaś, kwestja ustalenia pojęć i wyjaśnienia ich wzajemnego stosunku sięga samych podstaw naszej wiedzy, a doświadczenia poczynione wskazują, że badanie tych podstaw należy do najtrudniejszych.

Badania te rozpoczęła i prowadzi matematyka już oddawna, bo od czasów greckich i słynnego postulatu Euklidesa, a do etapów tej pracy zaliczyć można książkę D. Hilberta o podstawach geometrji i dzieło Whiteheade'a-Russella p. t.: „Principia matematica".

Co prawda, niektóre nauki, zwłaszcza n. p. fizyka doświadczalna i bez tych badań, a mimo pewnych nawet znacznych braków i niejasności w świecie swoich pojęć doszła do wyników, na które patrzymy z podziwem. Niemniej jednak na konieczność takiej krytyczno-filozoficznej rewizji i budowy od podstaw zdaje się wskazywać sama nawet fizyka, która w ostatnich czasach przechodzi duże wstrząśnienia, związane z teorją względności. We fizyce właśnie ustala się przekonanie, że pojęcie tak zdawałoby się intuicyjnie jasne, jak „równoczesność dwóch zjawisk" potrzebuje logicznej precyzji, bo może się stać pozbawionem sensu, gdy nie określimy bliżej warunków, w jakich te zjawiska rozpatrujemy.

Do rzędu pojęć raczej intuicyjnie odczuwanych przez wielu, niż rozumianych, należy pojęcie nieskończoności. Było ono przedmiotem badań przez wielu filozofów i matematyków, począwszy od filozofów greckich jak Arystoteles, a skończywszy na czasach najnowszych i dało niejednokrotnie powód do gorących dyskusyj i namiętnych sporów. Zdaje się ono świadczyć między innemi, jak niebezpiecznem jest używanie słów o niejasno sformułowanej treści.

Dle jednych n. p. u Spinozy słowo „nieskończony" znaczyło coś w tym rodzaju co „nie dający się powiększyć" lub „większy od wszystkiego, co istnieje"; dla innych łączyło się ono z pewnego rodzaju czynnością i było równoznaczne ze słowem „niekończący się" lub „nie mający końców". W tem ostatniem n. p. znaczeniu zdaje się używać Kant słowa nieskończony, starając

się dowieść tezy swej pierwszej antynomji czystego rozumu, że „świat ma początek w czasie i jest ograniczony w przestrzeni". Rozróżniano przytem kilka nieskończoności, jak n. p. absolutną, nazywaną inaczej absolutem, aktualną i potencjalną, czyli synkategorematyczną, a nawet „prawdziwą" w odróżnieniu od „fałszywej" i t. p.

Dodaję, że dyskusje w kwestji nieskończoności schodziły niejednokrotnie na tory religijne. Znany w czasach Cauchy'ego matematyk francuski, ksiądz Moigno, dowodził istnienia Boga na podstawie przyjęcia, że liczba aktualnie nieskończona nie istnieje, wyprowadzając stąd wniosek, że liczba obrotów ziemi naokoło słońca lub liczba ludzi, którzy żyli na ziemi jest skończona, a więc istniał człowiek pierwszy, który wyszedł z rąk Boga stworzyciela. Odwrotnie, przyjęcie, że liczba aktualnie nieskończona istnieje, nie wyjaśniając bliżej, jak należy rozumieć istnienie tej liczby i liczbę samą uważali niektórzy za zaprzeczenie istnienia Boga i za przyznawanie się do ateizmu lub przynajmniej za ujmowianie Bogu cech jemu tylko właściwych.

Przeciw wyciąganiu takich wniosków występuje w jednym ze swych listów G. Cantor[1]), który w głównej mierze przyczynił się do wyjaśnienia problemu nieskończoności i którego można uważać za właściwego twórcę liczb nieskończonych.

Przystępując do bliższego rozpatrzenia pojęcia nieskończoności i do podania wyników, do jakich nauka w tym kierunku doszła, chciałbym zaznaczyć, że przedstawienie moich uwag zamierzam podać w formie raczej przystępnej, niż precyzyjnej. Celem zaś łatwiejszego zorjentowania się w całości, rozdzielę ją na następujące cztery części:

1. O wielkościach ciągłych i nieciągłych.

2. Pojęcie zbioru nieskończonego i przypuszczalne powody, dla których dawniej nieskończoność odrzucano.

3. Budowa pozaskończonych liczb kardynalnych i porządkowych przez Cantora.

4. Nieskończoność u Greków i paradoksy Zenona.

1. Pojęcia „nieskończony" używać można tylko w odniesieniu do pewnej klasy pojęć, zwanych „wielkościami". Wielkością nazywa się często to, co można mierzyć, choć zdanie to nie jest właściwie określeniem wielkości, a sprowadza je tylko do równie

---

[1]) Zeitschrift für Philos. u. Kritik r. 1886.

niejasnego pojęcia mierzenia. Nie wdając się bliżej w określenie wielkości, podaję dla przykładu, że wielkością jest długość linji prostej, objętość kuli, czas, zbiór ziarnek piasku, zebranego w pewnem miejscu, zbiór liczb parzystych, nie większych od miljarda i t. p.

Nie uważamy zwykle za wielkości pojęć takich, jak dobroć lub piękno, więc w myśl tego, co powiedziałem, wyrażenie takie, jak „nieskończenie dobry" lub „nieskończenie piękny" będzie pozbawione sensu.

Między wielkościami takiemi, jak prosta, przestrzeń, lub czas z jednej, a zbiór ziarnek piasku, lub zbiór wszelkich liczb całych z drugiej strony zachodzi znaczna różnica. Pierwszym z nich przypisujemy pewną cechę, którą nazywamy ciągłością, nie przypisujemy jej natomiast drugim.

Ciągłość jest pojęciem znacznie więcej skomplikowanem, niż to dawniej sądzono i przez długi czas, bo do R. Dedekinda i G. Cantora, a więc do roku około 1870, znajomość jego polegała raczej na intuicji, niż na jasnem sformułowaniu. Na czem polega istota ciągłości przestrzeni lub czasu?

Wielkości ciągłe, jak czas lub przestrzeń, można też uważać za pewnego rodzaju zbiory, podobnie, jak zbiór ziarnek piasku. Tak n. p. czas od początku ery chrześcijańskiej do końca 1920 r. składa się z 701.280 dni lub z 60 przeszło miljardów sekund. Podobnie przestrzeń kształtu kostki o krawędzi jednego metra można uważać za zbiór miljona kostek zwanych centymetrami sześciennemi. Jednak nie każdy zbiór miljona takich kostek jest sześcianem o krawędzi jednego metra. Kostki te muszą być w pewien sposób ułożone obok siebie, czyli, jak to inaczej mówimy, zbiór ten musi być w pewien sposób uporządkowany.

Najważniejszą jednak cechą wielkości ciągłych jest to, że uważa się je za uporządkowane w pewien sposób zbiory elementów najprostszych, zwanych punktami. Linja lub czas są to więc w pewien sposób uporządkowane zbiory punktów, z których jedne nazywamy punktami linji, drugie punktami lub momentami czasu. Punkt linji lub moment czasu jestto jednak coś od nich różnego i nie jest ich częścią w znaczeniu takiem, jak sekunda jest częścią ery chrześcijańskiej.

Nie określa się zwyczajnie, czem jest punkt, przyjmując go za indefinibile, podobnie jak n. p. pojęcie czerwonej barwy. Mówiąc zaś, że linja, przestrzeń lub czas są ciągłe, wyrażamy przez to, że zbiory punktów linji, przestrzeni i czasu posiadają pewne

własności. Własności te w odniesieniu do ciągłego czasu, a to samo odnosi się i do ciągłej linji, są według Dedakinda trzy następujące:

Po pierwsze, zbiór punktów lub momentów czasu jest uporządkowany na kształt ziarnek piasku nanizanych na nitce. Znaczy to, że z każdych dwóch różnych momentów czasu zawsze jeden jest wcześniejszy od drugiego i że, gdy z trzech różnych momentów pierwszy jest wcześniejszy od drugiego, a drugi od trzeciego, to także pierwszy jest wcześniejszy od trzeciego.

Po drugie, zbiór ten nie posiada skoków. Znaczy to, że między każdemi dwoma punktami czasu znajduje się punkt trzeci od nich różny. Punktów czasu nie możnaby więc porównać z ziarnkami piasku, nanizanemi na nitce, choćby one były dowolnie małe. Wśród nich znajdują się bowiem takie, które są sąsiednie, w przeciwieństwie do punktów czasu, z których żadne dwa nie są sąsiednie, bo zawsze między nimi znajduje się punkt trzeci.

Po trzecie zbiór punktów czasu nie posiada w sobie luk. Cecha ta jest najtrudniejszą do jasnego ujęcia; aby ją jaśniej wyrazić, wypowiem jeszcze cechę poprzednią w innej formie, choć z nią równoważnej. W tym celu rozdzielmy wszystkie punkty czasu na dwa dowolne zbiory, A i B, byle takie, aby każdy punkt zbioru A był wcześniejszy od każdego punktu zbioru B i aby każdy punkt czasu został do jednego z tych zbiorów przydzielony. Rozdział taki nazwijmy przekrojem czasu. Otóż cecha druga powiada, że niemożliwy jest rozdział taki, żeby w zbiorze A istniał punkt *a* najwcześniejszy, a w zbiorze B punkt *b* najpóźniejszy, bo wtedy punkt *a* byłby późniejszy od *b*, a więc różny od niego i między niemi nie byłoby już żadnego punktu czasu. — Cecha trzecia natomiast powiada, że niemożliwy jest taki przekrój czasu na dwa zbiory A i B, żeby nie było równocześnie ani punktu najwcześniejszego w zbiorze A, ani punktu najpóźniejszego w zbiorze B. Każdy przekrój czasu jest więc taki, że albo istnieje w zbiorze A punkt najwcześniejszy, a wtedy niema w zbiorze B punktu najpóźniejszego z powodu cechy drugiej, albo istnieje w zbiorze B punkt najpóźniejszy, a wtedy w A niema punktu najwcześniejszego.

Mówiąc, że czas jest ciągły, a tak samo, że linja prosta jest ciągłą, wyrażamy przez to, że jest ona zbiorem pnnktów, posiadającym powyższe trzy własności. Na podstawie tego określenia zbiór liczb całych nie jest wielkością ciągłą, bo nie posiada on ani

cechy drugiej, ani trzeciej, choć posiada pierwszą. Podobnie nie jest ciągłym zbiór wszystkich ułamków, uporządkowanych według ich wielkości, bo nie posiada cechy trzeciej. Ciągłym natomiast jest obraz przestrzeni, jak to przyjmują fizycy i ciągłym jest zbiór wszystkich liczb rzeczywistych, jak tego dowodzi matematyka.

Mógłby tu kto zapytać, czy czas „rzeczywisty", albo powiedzmy lepiej, ten, który mierzymy zegarami, posiada trzy własności wyżej wymienione, a więc czy jest ciągłym? Odpowiedź na to pytanie ani twierdząca, ani przecząca, wydaje się jednak niemożliwa. Pewnego rodzaju intuicja zdaje się skłaniać nas do tego, żeby mu te własności przypisać, jednak nic nas do tego nie zmusza, co najwyżej możemy powiedzieć, że ujęcie czasu w sposób powyższy okazuje się praktyczne przy badaniu zjawisk przyrody.

2. Przejdźmy do pojęcia nieskończoności. Co znaczy, że pewna wielkość jest nieskończona? Uważając za znane pojęcie liczby całej, określę najpierw nieskończoność zbioru, złożonego z dowolnych zresztą elementów; może to być zbiór ludzi żyjących, zbiór ciał niebieskich, zbiór punktów prostej i t. p. Określenie to jest całkiem proste:

Zbiór jest nieskończony, to znaczy, że jakąkolwiek pomyślę liczbę całą, to w zbiorze znajduje się przynajmniej o jeden więcej elementów, niż pomyślana liczba.

Nieskończonym jest w myśl tego przedewszystkiem zbiór liczb całych. Co więcej, nieskończonym może być zbiór liczb całych, choć tylko niektóre liczby całe do niego należą, n. p. każda dziesiąta liczba 10, 20, 30, i t. d. Podobnie nieskończonym jest zbiór momentów czasu, zawartych między dwoma dowolnie nawet bliskiemi lecz różnemi od siebie momentami, a to w myśl drugiej cechy ciągłości. Natomiast skończonym jest zbiór ludzi żyjących w pewnej chwili, jak to wykazują statystyki, skończonym byłby również zbiór kropel wody, dostrzegalnych przy pomocy znanych przyrządów optycznych, a zawartych w kuli wielkości ziemi i t. p.

Przechodząc do wielkości ciągłych, jak przestrzeń lub czas, przyjmijmy, że wiemy, co znaczy mierzyć je przy pomocy dowolnie przyjętej jednostki, lub lepiej wydzielać z nich części równe przyjętej jednostce.

Linja, przestrzeń lub czas są nieskończone ze względu na daną jednostkę mierniczą, to znaczy, że zbiór części równych przyjętej jednostce, jakie można z tych wielkości wydzielić, jest nieskończony. W tem właśnie znaczeniu nieskończoną jest n. p. prosta

w przestrzeni Euklidesa lub Łobaczewskiego. Nasuwa się pytanie, czy cecha nieskończoności nie zależy tu od przyjętej jednostki mierniczej. Nie trudno jednak stwierdzić, że jeżeli n. p. linja jest nieskończona ze względu na pewną jednostkę, to jest nią także ze względu na każdą inną, byle tylko ta ostatnia była skończoną ze względu na pierwszą; własność nieskończoności jest więc do pewnego stopnia niezależną od przyjętej jednostki.

Istnienie wielkości nieskończonych stwierdziliśmy na kilku przykładach, do czasów jednak G. Cantora istnienie to prawie powszechnie odrzucano. Panował pod tym względem duży sceptycyzm lub jakby jakaś obawa przed nieskończonością, w której widziano często albo sprzeczność, albo coś, co dla umysłu ludzkiego jest niedostępne. Do rzędu jej przeciwników należeli Arystoteles, Descastes, Spinoza, Locke, Hegel, a co dziwniejsze, zaliczali się do nich matematycy tej miary, co Gauss i Cauchy.

Zwłaszcza tak zwana nieskończoność aktualna, odpowiadająca, jak się zdaje, definicji wyżej podanej, znajdowała najwięcej przeciwników. Większem zaufaniem cieszyła się jakaś nieskończoność absolutna, czy też prawdziwa, sformułowana niejasno a przypisywana istocie najwyższej, t. j. Bogu. Natomiast uznawano najczęściej t. zw. nieskończoność potencjalną, której w terminologji dzisiejszej nie nazwalibyśmy nieskończonością, a raczej może granicą pewnej zmiennej wielkości.

Powody tego sceptycyzmu i braku zaufania do nieskończoności były różnorodne, a możnaby je, jak sądzę, sprowadzić do następujących:

Przedewszystkiem był nim, jak to już wspomniałem, brak dostatecznego określenia, co należy rozumieć przez nieskończoność, a zwłaszcza przez liczbę nieskończoną, o której często mówiono. Już sama zresztą etymologja słowa nasuwała pewne trudności. Nieskończony może etymologicznie znaczyć tyle, co „nie mający końców", a to, co ma końce — mówiono — nie może być nieskończone. Lecz wiemy dziś, że są zbiory nieskończone, w których niema sensu mówić o końcu, n. p. zbiór wszystkich punktów na kuli i takie, w których o końcu można mówić. Tak n. p. czas między dwoma chwilami jest nieskończonym zbiorem momentów czasu, choć posiada początek i koniec.

Z drugiej strony duże trudności i nieporozumienia wywoływało i wywołuje dotąd słowo „istnieje". Rozróżnia się zwykle

dwojakiego rodzaju istnienia. Jedno odnosi się do t. zw. świata zewnętrznego lub fizycznego, zwanego inaczej rzeczywistym. Słowo istnieje brane jest w znaczeniu takiem, jak w wyrażeniach „istnieją gwiazdy“, bo na nie patrzyłem lub patrzę, „istnieje Ameryka“, bo opowiadał mi o niej znajomy, lub o niej czytałem, „istnieje prąd elektryczny“, bo się nim sparzyłem. Istnienie brane jest tu w znaczeniu odczuwania przez nasze zmysły, ale z pewnemi wyjątkami, występującymi w snach, hallucynacjach i t. p. Co prawda, zakres istnienia w świecie fizycznym niektórzy znacznie rozszerzają, zaliczając do niego istnienia takie, jak środka ziemi, którego nikt nie widział, lub nawet istnienie t. zw. rzeczy samej w sobie, która ma być w zupełności niedostępną dla naszych zmysłów.

Istnieniu w świecie fizycznym przeciwstawia się zwyczajnie inne, mianowicie w świecie naszych pojęć w znaczeniu takiem, jak n. p. „istnieje liczba 3“ lub „istnieje przestrzeń czterowymiarowa“, a to dzięki pewnej władzy twórczej naszego umysłu. — Czy należy odróżniać istnienie rzeczy samej w sobie, gdyby tym słowom sens jaki przypisać lub istnienie środka ziemi z jednej, od istnienia liczby 3 lub przestrzeni czterowymiarowej z drugiej strony, wydaje się to rzeczą dość problematyczną.

Nie wchodząc w to jednak, zaznaczę tylko, że gdy chodziło o zbiory nieskończone, brano często słowo istnieje w znaczeniu pierwszem, a więc w znaczeniu istnienia w świecie fizycznym. Podane zaś powyżej przykłady wielkości nieskończonych odnoszą się do świata naszych pojęć.

Możnaby jednak zapytać, czy istnieją wielkości lub zbiory nieskończone w świecie fizycznym? Pytanie to jest, jak sądzę, niezbyt jasno stawione, chyba, że przez świat fizyczny rozumieć świat naszych wrażeń. Otóż w tym ostatnim przypadku istnienie zbiorów nieskończonych jest bardzo wątpliwe. Ilość wrażeń oddzielnych, jakie można sobie uświadomić w jednej sekundzie, jest, jak nas uczy doświadczenie, skończona, a więc musi być skończona i w życiu człowieka, a przez to ilość dostrzeżonych i wyróżnionych przez nas przedmiotów świata zewnętrznego, nie może być nieskończona.

Najważniejszym czynnikiem, dla którego nieskończoność przed wystąpieniem Cantora była odrzucana, była kwestja liczby nieskończonej. Dzięki niej głównie widziano w pojęciu nieskończoności niedającą się usunąć sprzeczność i główne zarzuty przeciw nieskończoności tyczyły się właśnie liczb nieskończonych. Co na-

leży rozumieć przez liczbę nieskończoną, o to nie pytano. Dość, że jak każdemu zbiorowi skończonemu przypisuje się pewną liczbę skończoną, mianowicie liczbę jego składników, tak też zbiorowi nieskończonemu przypisywano liczbę nieskończoną, na której wykonywano działania według tych samych zasad, co na liczbach skończonych.

Takie postawienie kwestji prowadziło istotnie do różnych paradoksów, a powód leżał w tem, że liczbie nieskończonej przypisywano a priori te same własności, co liczbom skończonym. Podam dla przykładu jeden z takich paradoksów. Zauważmy zbiór wszystkich liczb parzystych i zbiór wszystkich liczb całych, napisanych w porządku ich wielkości:

$$2, 4, 6, 8, 10, \ldots$$
$$1, 2, 3, 4, 5, \ldots$$

Drugi zbiór ma znaczenie więcej elementów, bo i wszystkie liczby parzyste i nadto wszystkie nieparzyste. Ilość elementów w zbiorze drugim powinna więc być większa, niż w pierwszym. Połączmy jednak w pary elementy, napisane pod sobą, to jest 2 z 1, 4 z 2, 10 z 5 i t. d. Wtedy każdy element jednego zbioru ma swoją parę w drugim, a więc nie pozostaną w żadnym zbiorze elementy nie złączone. Ilość elementów w zbiorze drugim jest więc taka sama, jak w pierwszym, a zatem liczba elementów pierwszego zbioru nie wzrosła choć dodaliśmy do niego nowe elementy.

Ta „własność“ nieskończonego zbioru, że nie zwiększa swej liczby pomimo dodania nowych elementów, a więc, że niejako część jego może być równa całości, była uważana dawniej za ze sobą sprzeczną. Obecnie jednak zapatrywania z gruntu się zmieniły. Dziś nie uważa się jej, jak się wyraził Russell [1]), za więcej sprzeczną niż to, że ludzie chodzący po przeciwnej stronie ziemi od niej nie odpadają.

3. Zmiana w tych zapatrywaniach powstała niespełna 50 lat temu, a to głównie dzięki pracom G. Cantora [2]), którego głębokie i ciekawe z filozoficznego punktu widzenia koncepcje wywarły ogromny wpływ na dzisiejszą matematykę.

W swojej teorji mnogości dowiódł on, że liczbę nieskończoną można tak określić, żeby była wolną od przypisywanych jej dotąd sprzeczności i pokazał zarazem, że istnieje nie jedna,

---

[1]) Our knowledge of the external world. London 1914.

[2]) Grundlagen der Mannigfaltigkeitslehre. Leipzig 1882.

ale całe bogactwo nieskończoności, znacznie większe niż w zakresie liczb skończonych.

Liczby te, nazwane przez Cantora pozaskończonemi, należy podzielić na dwie główne klasy; jedne z nich, to liczby pozaskończone kardynalne, drugie, to liczby porządkowe, zwane inaczej liczbami Cantora. Rozróżnienie takie istnieje zresztą także w zakresie liczb skończonych, a odpowiadają tym dwom klasom nazwy takie, jak dwa i drugi, dziesięć i dziesiąty i t. d.

Zajmę się teraz krótko określeniem obydwu klas liczb nieskończonych.

Pojęciem podstawowem w budowie liczb pozaskończonych kardynalnych jest pojęcie „mocy“ zbiorów. Mówimy, że dwa zbiory nieskończone są równej mocy, jeżeli między elementami tych zbiorów można wyznaczyć t. zw. doskonałą odpowiedniość, czyli jeżeli można ich elementy połączyć ze sobą w pary tak, żeby każdy element jednego zbioru miał swą parę w drugim. Wyjaśnię to na przykładzie zbiorów skończonych. Zauważmy dwa kosze owoców, w jednym z nich jabłka, w drugim gruszki. Wyjmując jedno jabłko z jednego kosza złączmy je w parę z jedną gruszką z drugiego. Przy tem łączeniu albo wyczerpiemy owoce tylko z jednego kosza, a w drugim część ich pozostanie, albo wyczerpiemy je z obu koszów równocześnie. W przypadku ostatnim mówimy, że między zbiorami jabłek i gruszek wyznaczyliśmy odpowiedniość doskonałą, i że zbiory te są równoliczne; zamiast słowa „równoliczny“ użył Cantor słowa „równej mocy“, gdy chodzi o zbiory nieskończone.

Między zbiorami skończonemi i nieskończonemi zachodzi jednak zasadnicza różnica, na której opierano dawniej przekonanie, że nieskończoność jest czemś w sobie sprzecznem. Jeżeli dwa zbiory skończone są równoliczne, to nie da się wyznaczyć odpowiedniość doskonała między jednym z nich a częścią drugiego. Inaczej zachowują się zbiory nieskończone, jak to wskazuje przykład wyżej podany. Stwierdziliśmy w nim, że między zbiorami

$$2, 4, 6, 8, \ldots$$
$$1, 2, 3, 4, \ldots$$

daje się wyznaczyć odpowiedniość doskonała, a więc są one równej mocy; równocześnie jednak daje się także wyznaczyć odpowiedniość doskonała między zbiorem pierwszym, a częścią dru-

giego, złożoną z samych liczb parzystych. — Zbiór nieskończony może więc być równoliczny, czyli równej mocy ze swoją częścią, choć własności tej nie posiada żaden zbiór skończony.

Łatwo już teraz określić liczbę *pozaskończoną kardynalną* pewnego zbioru nieskończonego. Jest nią poprostu moc tego zbioru; wszystkie zbiory, które są ze sobą równej mocy, mają tę samą liczbę kardynalną.

Najważniejszą rolę odgrywają zbiory równej mocy ze zbiorem wszystkich liczb całych: 1, 2, 3, 4,.... Nazwijmy je *przeliczalnemi*, a ich liczbę kardynalną oznaczmy dowolną literą, n. p. X. Przeliczalnym jest, jak wyżej stwierdziliśmy, zbiór liczb parzystych, przeliczalnym jest, co można stwierdzić, zbiór złożony ze wszystkich ułamków i liczb calych, choć wydaje się on o wiele liczniejszym, niż zbiór samych tylko liczb całych, przeliczalnym jest również zbiór t. zw. punktów wymiernych w przestrzeni, choć w każdej bliskości dowolnego jej punktu znajduje się nieskończenie wiele punktów innych, od niego różnych.

Wobec tych przykładów nasuwa się podejrzenie, czy wogóle istnieją zbiory nieskończone inne, niż przeliczalne, a więc czy istnieją liczby kardynalne pozaskończone inne, niż X. Gdyby wszystkie zbiory nieskończone były równej ze sobą mocy, to istniałaby wówczas tylko jedna liczba kardynalna pozaskończona, jak to dawniej powszechnie przypuszczano.

Odpowiedź na postawione pytanie dają przedewszystkiem wielkości ciągłe. Cantor spostrzegł, że zbiór ciągły wszystkich liczb rzeczywistych, zawartych między 0 a 1 nie jest równej mocy ze zbiorem liczb całych, a więc nie jest przeliczalny i posiada inną liczbę kardynalną. Zbiór taki nazywamy *nieprzeliczalnym*.

Wprowadźmy nowe określenie: Jeżeli zbiór nieskończony A jest równej mocy z pewną częścią zbioru B, ale zbiór B nie jest równej mocy ani ze zbiorem A ani z żadną jego częścią, to mówimy, że zbiór B jest mocy wyższej niż A, a liczbę kardynalną zbioru B nazywamy *większą* od liczby kardynalnej zbioru A.

W myśl tego określenia liczba kardynalna zbioru punktów wielkości ciągłej jest, jak wykazał Cantor, większa od liczby X. Co więcej, można dowieść, że gdy dany jest dowolny zbiór nieskończony A, to istnieje nowy zbiór B nieskończony, który jest mocy wyższej niż A. Innemi słowy, do każdej pozaskończonej liczby kardynalnej istnieje nowa liczba od niej większa. Zbiór liczb pozaskończonych kardynalnych jest więc nieograniczony.

Zwrócę teraz krótko uwagę na drugą klasę liczb pozaskończonych, t. j. na liczby porządkowe czyli Cantora. Pojęciem podstawowem w tworzeniu tych nowych liczb jest t. zw. zbiór „dobrze uporządkowany". Zbiór nieskończony nazwał Cantor „dobrze uporządkowanym", jeżeli posiada on dwie własności, podobne do własności zbioru wszystkich liczb całych, ułożonych n. p. według ich wielkości. Są one następujące:

Po pierwsze zbiór ten jest uporządkowany, t. j. posiada pierwszą własność podaną wyżej dla punktów ciągłego czasu. Po drugie zbiór ten i każda jego część posiada element pierwszy.

Zbiorem, który spełnia te dwa warunki jest przedewszystkiem zbiór wszystkich liczb całych, napisanych w porządku ich wielkości

$$1, 2, 3, 4, \ldots.$$

Nie wszystkie jednak zbiory, choćby były uporządkowane, spełniają warunek drugi; tak n. p. zbiór następujący:

$$0, \ldots, \frac{1}{4}, \frac{1}{3}, \frac{1}{2}, 1$$

nie jest „dobrze uporządkowany", bo nie posiada drugiej własności. Wprawdzie posiada on element pierwszy 0, ale jego część otrzymana przez odrzucenie zera, nie posiada elementu pierwszego, a więc nie spełnia obu warunków. Zauważę jeszcze, że dopisując, po wszystkich elementach zbioru dobrze uporządkowanego: 1, 2, 3, 4, ... jakiekolwiek nowe elementy i nazywając je późniejszemi od wszystkich, otrzymamy nowy zbiór dobrze uporządkowany. Takim jest n. p. zbiór

$$1, 2, 3, 4, \ldots\ldots \alpha, \alpha+1, \alpha+2, \ldots$$

bo spełnia obydwa podane warunki, byle element α był późniejszym od wszystkich poprzednich.

Dla zbiorów dobrze uporządkowanych wprowadził Cantor pojęcie typu, odpowiadające pojęciu mocy zbioru dowolnego. Mówimy, że dwa zbiory dobrze uporządkowane są podobne, lub, że mają ten sam typ, jeżeli można między elementami tych zbiorów wyznaczyć taką odpowiedniość doskonałą, żeby elementom wcześniejszym jednego zbioru odpowiadał zawsze element wcześniejszy drugiego, a elementom późniejszym, późniejszy.

W myśl tej definicji można stwierdzić, że wśród zbiorów

1, 2, 3, 4, ...
0, 1, 2, 3, 4, ...
1, 2, 3, 4, ... , 0

z których wszystkie trzy są dobrze uporządkowane, dwa pierwsze mają ten sam typ, drugi zaś i trzeci, w którym zero zostało nazwane elementem późniejszym od wszystkich poprzednich, mają typy różne. Mogę po tych przygotowaniach podać określenie liczby porządkowej. Cantor określa ją tylko dla zbiorów dobrze uporządkowanych.

Liczbą pozaskończoną porządkową takiego zbioru nazywa on typ, do którego zbiór ten należy; wszystkie zbiory, należące do tego samego typu, mają tę samą liczbę porządkową. Tak n. p. z trzech powyższych zbiorów mają pierwszy i drugi tę samą liczbę porządkową, trzeci zaś od niej różną.

Zwrócę tu uwagę na pewną charakterystyczną własność zbiorów nieskończonych. Dwa takie zbiory, dobrze uporządkowane i mające tę samą liczbę porządkową, muszą mieć tę samą liczbę kardynalną, bo między ich elementami daje się w myśl powyższej definicji wyznaczyć odpowiedniość doskonała. Odwrotnie jednak równość liczb kardynalnych dwóch zbiorów dobrze uporządkowanych nie pociąga za sobą równości ich liczb porządkowych. Tak n. p. zbiory drugi i trzeci ostatniego przykładu, t. j.

0, 1, 2, 3, 4, ...
1, 2, 3, 4, ... , 0

zawierają te same elementy, a więc mają równe liczby kardynalne choć należą do różnych typów, a przez to mają różne liczby porządkowe.

Własność ta odróżnia zasadniczo zbiory nieskończone od skończonych. W tych ostatnich równość liczb kardynalnych pociąga za sobą równość ich liczb porządkowych i naodwrót. Zmiana porządku elementów zbioru skończonego nie wpływa na zmianę liczby porządkowej w przeciwieństwie do zbiorów nieskończonych.

Obok równości określił Cantor większość i mniejszość w zakresie liczb porządkowych i podzielił wszystkie pozaskończone liczby porządkowe na klasy, zwane klasami alefów. Do jednej i tej samej klasy zaliczył wszystkie te liczby porządkowe, które odpowiadają zbiorom jednej i tej samej mocy, a więc mają tę samą liczbę kardynalną. Okazało się przytem, że istnieje nieograniczenie wiele tych klas, i że w każdej z nich znaj-

duje się nieprzeliczalna mnogość liczb porządkowych. Zbiór pozaskończonych liczb porządkowych jest więc nieograniczony, a rozmaitość ich jest znacznie większą i bogatszą, niż to jest w zbiorze liczb skończonych.

W budowie liczb pozaskończonych istnieje pewien brak czy też wada, którą chciałbym jeszcze podnieść. Dotyczy ona zresztą tylko liczb kardynalnych, a jest nią t. zw. problemat trychotomji. Jak wiadomo, co do każdych dwóch liczb skończonych istnieje jedna z trzech możliwości. Albo są one równe, albo pierwsza jest większa od drugiej, albo druga jest większa od pierwszej. Stosuje się to również do pozaskończonych liczb porządkowych, czy jednak własność tę posiadają i liczby kardynalne, na razie nie wiadomo, przynajmniej bez specjalnych założeń. Można tylko wykazać, że dla każdych dwóch pozaskończonych liczb kardynalnych zachodzi co najwyżej jedna z tych trzech możliwości, czy jednak istotnie jedna z nich zawsze zachodzi, nie zdołano dotąd rozstrzygnąć.

4. Przechodzę do ostatniego punktu mojej dyspozycji. Nieskończoność nasuwała zawsze wiele dziwnych konsekwencyj i paradoksów, które, jak to już wyżej wspomniałem były dawniej powodem powszechnego prawie dla niej sceptycyzmu i nieufności. Jeszcze przed Cantorem, bo około 1850 r., pojawiła się ciekawa, choć mało, zdaje się, znana, książka p. t.: „Paradoxien des Unendlichen", której autor, B. Bolzano, w niezwykle trafny jak na owe czasy sposób starał się rozjaśniać różne trudności, do jakich zdaje się prowadzić nieskończoność. Prace Cantora stanowią główny w tym kierunku etap. Choć jednak pomysły i prace Cantora wszelkie znane wtedy trudności i paradoksy w sposób wprost mistrzowski usunęły, to jednak i one nie zdają się głębokiej zagadkowości, tkwiącej w tem pojęciu w zupełności rozcinać. Jednym z dalszych pomysłów i usiłowań w tym kierunku jest teorja typów Russella.

Nie o tem tu jednak mam mówić, podniosę natomiast trudności, jakie nieskończoność nasuwała jeszcze grekom. Że oni te trudności dostrzegli, świadczy to o ich niezwykłej bystrości i przenikliwości.

Nieskończoność najwcześniej może wprawiła w ogromne zakłopotanie Pytagorasa i jego szkołę. Pytagorejczycy wypowiadali mętne zresztą dość zdanie, że liczba jest istotą wszechrzeczy i że wszystko da się sprowadzić do stosunków między liczbami.

Przez liczbę rozumieli oni to, co dziś nazywamy liczbą wymierną, a więc liczby całe i ich stosunki. W twierdzeniu odkrytem przez Pytagorasa i znanem pod jego nazwą, związki między bokami a, b, c trójkąta prostokątnego dają się przedstawić znanem równaniem

$$a^2 + b^2 = c^2$$

Jeżeli zatem trójkąt prostokątny ma przyprostokątnie a i b równe i ponieważ na podstawie ideologji pytagorejskiej stosunek dwóch odcinków a i c wyraża się stosunkiem pewnych dwóch liczb całych, zatem istnieją takie dwie liczby całe m i n pierwsze względem siebie, że zachodzi równość

$$2m^2 = n^2$$

Pytagoras spostrzegł jednak, że równanie to zawiera sprzeczność. Istotnie liczby m i n muszą być 1^0 albo obie parzyste, 2^0 albo obie nieparzyste, 3^0 albo pierwsza parzysta, druga nieparzysta, 4^0 albo pierwsza nieparzysta, druga parzysta. Otóż łatwo stwierdzić, że żaden z tych przypadków jest niemożliwy; bo piewszy wykluczony jest tem, że liczby m i n są względem siebie pierwsze, czyli nie dadzą się podzielić obie równocześnie przez żadną liczbę różną od 1, drugi i trzeci są niemożliwe dlatego, że wtedy liczba $2m^2$ byłaby parzysta, zaś n^2 nieparzysta, a więc nie mogłyby być sobie równe, czwarty jest niemożliwy dlatego, bo kładąc $n = 2r$, mielibyśmy $2m^2 = 4r^2$ czyli $m^2 = 2r^2$, gdzie m^2 jest nieparzyste, zaś $2r^2$ parzyste.

Wynik ten okazał się fatalny dla całej filozofji pytagorejskiej, bo prowadził do wniosku, że stosunek boków trójkąta prostokątnego i równoramiennego, a więc nie wszystko w świecie daje się sprowadzić do stosunków między liczbami, co stanowiło istotę filozofji pytagorejskiej.

Pytagoras wtajemniczył w to swoje odkrycie tylko wybranych; pozatem robiono z tego głęboki sekret w obawie, żeby zwolennicy ideologji pytagorejskiej, która była jakby nową religją, w nią nie zwątpili, bo mogliby przez to popaść w grzech, a nawet jeść bób, co było uważane przez pytagorejczyków za równie wielkie zło, jak ludożerstwo.

Dziś wiemy, że powód sprzeczności odkrytej przez Pytagorasa tkwi bardzo głęboko i daje się wyjaśnić tylko przy pomocy pojęcia nieskończoności. Powodem tym jest istnienie t. zw. odcinków niespółmiernych, co istotnie naruszało podstawy światopoglądu pytagorejczyków.

Do dzisiejszych jeszcze czasów duży posiadają rozgłos niezwykle bystre paradoksy filozofa greckiego, Zenona z Elei, przy pomocy których dowodził on, że ruch jest niemożliwy. Problem nieskończoności odgrywa w nich podstawową rolę.

Argumentów Zenona przeciwko ruchowi wymienia się cztery. Zajmę się najpierw pierwszym z nich, który cytuję w przedstawieniu, podanem przez E. Zellera[1]). Brzmi on w sposób następujący:

„Zanim poruszające się ciało może dojść do celu, musi przedtem dojść do środka swej drogi; zanim dojdzie do jej środka, musi dojść do środka jej pierwszej połowy, przedtem zaś do środka pierwszej czwartej części i t. d. do nieskończoności. Każde zatem ciało, zanim ze swojego miejsca dojdzie do innego, musi przebiec nieskończenie wiele przestrzeni. Nieskończoność jednak przestrzeni nie daje się przebiec w skończonym czasie. Zatem jest rzeczą niemożliwą dojście z jednego miejsca do innego, czyli ruch jest niemożliwy".

Zaznaczę tu jednak, że brzmienie tego argumentu bywa podawane nie przez wszystkich w jednakowej formie. Tak n. p. w książce Überweg'a-Heinze'go: „Geschichte der Philosopie"[2]) ma ono zwięzłą postać taką:

„Ruch nie może się zacząć, bo ciało nie może przejść na inne miejsce, zanim nie przejdzie nieograniczenie wiele miejsc pośrednich".

Treść obu tych brzmień jest nieco odmienna. W myśl pierwszego ruch jest niemożliwy, bo nieskończona liczba odcinków nie daje się przebiec w skończonym czasie, w myśl drugiego zaś ruch jest niemożliwy, bo wskutek podzielności przestrzeni w nieskończoność ruch nie może się zacząć. Otóż sens pierwszego sposobu argumentowania wydaje się być taki, że suma nieskończonej liczby czasów nie może być skończona. Wiemy jednak, że sąd ten jest fałszywy, bo suma szeregu nieskończonego może być i jest często skończona.

Tak n. p. dodając do połowy godziny jej czwartą część, następnie ósmą, szesnastą i t. d. w nieskończoność, otrzymujemy jednę godzinę, a więc czas skończony, choć dodawaliśmy nieskończenie wiele czasów.

---

[1]) Die Philosophie der Griechen. 1892.

[2]) Berlin, 1909, t. I.

Nadmieniam tu nawiasowo, że Arystoteles, który w swej „Fizyce“ omówił bliżej argumenty Zenona, zbijał pierwszy z nich w sposób podobny do tego, który tu podałem; brzmienie więc pierwszego argumentu zdaje się być takie, jakie zamieściłem najpierw.

Nie wchodząc jednak w kwestję autentyczności tekstu — zwróćmy uwagę na brzmienie drugie. Nastręcza ono istotnie pewne trudności, jak można uznać ruch za możliwy. Bo, aby przejść z punktu A do B, musi ciało przejść wszystkie punkty pośrednie. Na drodze AB niema jednak punktu następującego po A, wskutek nieograniczonej podzielności każdej drogi, a więc samo rozpoczęcie się ruchu wydaje się niemożliwem.

Zważmy, czem jest ruch. Jeżeli przez to słowo rozumieć pewien kompleks wzrokowych wrażeń, to oczywiście w istnienie ich nikt nie wątpli. Wprawdzie już Diogenes miał dowodzić istnienia ruchu, wychodząc ze swej beczki, jednak rozwiązanie takie jest zbyt banalne i nie w tem leży trudność problemu, którą zapewne chciał podkreślić Zenon.

Jeżeli jednak nie o wrażenie tu chodzi, lecz o pewien pojęciowy ich obraz, należy koniecznie rozstrzygnąć, jakim ma być ten pojęciowy odpowiednik ruchu. Oczywiście nie może on być całkiem dowolny, lecz musi odpowiadać naszej intuicji czy też raczej doświadczeniu.

Mówiąc o ruchu, rozumiemy powszechnie przez to pewną relację między czasem i jednowymiarową przestrzenią, którą dla prostoty można przyjąć jako linję prostą. Kwestja możliwości ruchu sprowadza się więc do tego, czy i jaka odpowiedniość jest możliwa między przestrzenią i czasem. Aby to rozstrzygnąć, musimy przedtem odpowiedzieć na dwa następujące pytania: Po pierwsze, jaki jest nasz pojęciowy obraz przestrzeni fizycznej, po drugie, jaki jest nasz obraz fizycznego czasu, przyczem, tworząc te obrazy, winniśmy liczyć się z naszem doświadczeniem.

Otóż doświadczenie zdaje się pozostawiać nam w tym wyborze dość wielką dowolność. Fizycy nasi przyjmują powszechnie, że przestrzeń i czas są zbiorami niepodzielnych momentów i punktów i że każdy z tych zbiorów jest uporządkowany i nie posiada luk ani skoków. Jednem słowem, pojęciowe obrazy fizycznej przestrzeni i czasu są u nich wielkościami ciągłemi, w znaczeniu, które wyżej określiłem. Podnieść jednak należy, że doświadczenie do przyjęcia takich właśnie obrazów niczem nas nie zmusza. Co

najwyżej, skłania nas do tego jakaś intuicja, nie dająca się zresztą bliżej uzasadnić. Również dobrze moglibyśmy przyjąć, nie wchodząc w kolizję z żadnem doświadczeniem, że punkty przestrzeni i czasu są zbiorami uporządkowanemi i bez skoków, czyli że posiadają tylko dwie pierwsze cechy określonych wyżej wielkości ciągłych, a nie posiadają trzeciej.

Pytagoras, jak się zdaje, poszedł jeszcze dalej. Ideologja jego zdaje się wskazywać, że według Pytagorejczyków czas i przestrzeń składają się tylko ze skończonej liczby niepodzielnych części, a więc posiadają tylko pierwszą cechę wielkości ciągłych. Stosunek każdych dwóch odcinków wyraża się, ich zdaniem, stosunkiem dwóch liczb całych, a takby istotnie być mogło, gdyby na każdym odcinku znajdowała się skończona tylko liczba punktów. Czy Pytagorejczycy byli w błędzie, dowieść tego niepodobna. Przeciwnie, przyznać musimy po bliższej rozwadze, że i taki obraz przestrzeni i czasu nie jest sprzeczny z doświadczeniem.

Do jakich może to prowadzić konsekwencyj? Kwestja możliwości ruchu jest to nic innego, jak pytanie: czy możliwą jest odpowiedniość między elementami pojęciowych obrazów fizycznej przestrzeni i czasu. Odpowiedź na to pytanie może jednak wypaść różnie, zależnie od tego, który z możliwych do przyjęcia obrazów uznamy za prawdziwy i od tego, jakiego rodzaju ma to być odpowiedniość.

Przyjmijmy dla prostoty, że odpowiedniość ta, mówiąc językiem matematyki, ma być doskonałą, to znaczy, że każdemu elementowi przestrzeni ma odpowiadać jeden, i tylko jeden element czasu i odwrotnie. Rozważmy dwa przypadki. Niech w przypadku pierwszym czas i przestrzeń będą wielkościami ciągłemi, a więc uznajemy ciągłe zbiory punktów za ich prawdziwe obrazy. Przy tych założeniach daje się na różne sposoby wyznaczyć doskonałą odpowiedniość między punktami przestrzeni i momentami czasu i to bez względu na długość czasu i przestrzeni. Wobec tego w tym przypadku ruch należy uznać za możliwy.

Z drugiej strony załóżmy, że prawdziwym obrazem przestrzeni jest zbiór punktów ciągły, że zaś zbiór momentów czasu posiada tylko dwie pierwsze cechy wielkości ciągłych i że zbiór ten, używając terminologji Cantora, jest przeliczalny. I takie ujęcie przestrzeni i czasu jest możliwe, bo nie jest sprzeczne z doświadczeniem. W tym jednak przypadku odpowiedniość do-

skonała między elementami przestrzeni i czasu jest niemożliwa, bo są to dwa zbiory różnej mocy, a więc i ruch przy tych założeniach należy uznać za niemożliwy.

Jaki stąd wniosek? Rozważania te wskazują, że przyjęcie ruchu nie może prowadzić do żadnej sprzeczności. Paradoks pierwszy Zenona jest tylko pozorny. Ruch, w znaczeniu tu przyjętem, nie da się zresztą ani zaprzeczyć, ani potwierdzić, bo ani nie jest sprzeczny z doświadczeniem lub z zasadami naszego myślenia, ani też doświadczenie nie może stwierdzić jego możliwości.

Z pośród trzech pozostałych paradoksów Zenona najwięcej są znane dwa, oznaczane zwyczajnie nazwami „Żółw i Achilles“ i „Strzała“. Przytoczę jeszcze tylko te dwa, a pominę ostatni, który zresztą uważany bywa za argument słabszy od poprzednich..

„Szybki Achilles nie może dopędzić powolnego żółwia, który się przed nim porusza. Bo, aby dojść do niego, musi najpierw w pewnym czasie przebyć odległość, dzielącą go w danej chwili od żółwia. Żółw w tym czasie poruszy się naprzód, zatem Achilles potrzebuje na przebycie tej drogi znowu pewnego czasu, w którym żółw znowu od niego się oddali i powtarza się to ciągle do nieskończoności“.

Ruch, zdaniem Zenona, jest więc tylko pozorny, bo przykład powyższy wskazuje, że szybki Achilles nie jest w stanie dopędzić najbardziej nawet powolnego żółwia. W paradoksie „Strzała“ argumentuje Zenon w sposób następujący:

„Lecąca strzała znajduje się w każdej chwili w oznaczonem miejscu przestrzeni. To, co się znajduje w oznaczonem miejscu przestrzeni, spoczywa. Lecąca strzała spoczywa więc w każdej chwili, a zatem nie porusza się“.

Problem nieskończoności występuje w sposób widoczny w pierwszym z tych dwóch argumentów. W czasie bowiem, kiedy Achilles ma przebiec odległość, dzielącą go w danej chwili od żółwia, ten ostatni posuwa się naprzód i proces ten powtarza się nieskończenie wiele razy. Zenon zdaje się wyciągać stąd wniosek, że proces ten trwać musi bez końca, a przez to dosiągnięcie żółwia staje się niemożliwem. Trudność, podniesiona tym argumentem, nie jest jednak zasadniczo różną od tej, jaką podniósł Zenon w swym paradoksie pierwszym, a raczej w jego brzmieniu najpierw podanem. Jest ona tylko pozorną. Suma bowiem czasów, w których owe dopędzania żółwia odbywają się,

choć jest ich nieograniczenie wiele, nie musi być nieskończona, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Dopędzanie żółwia nie musi więc trwać bez końca, a raczej przez czas nieograniczenie długi, bo suma szeregu nieskończonego może być skończona.

Inną trudność chciał podkreślić Zenon w paradoksie „Strzała", zwracając w nim uwagę na to, że lecąca strzała w każdym momencie czasu spoczywa, a więc nie można wogóle mówić o jeruchu. Podniosę tu jednak, że słowo „spoczynek" brane jest tu, w znaczeniu innem, niż się je powszechnie używa. Spoczywać, to znaczy znajdować się w oznaczonem miejscu, ale nie w pewnym momencie, lecz w przedziale czasu. Paradoks ten zdaje się więc polegać raczej na nieporozumieniu, jakie często nastręcza nam język.

Ze stanowiska nauki dzisiejszej, a mam tu na myśli nauki dedukcyjne, posiadają dowodzenia Zenona jedną słabą stronę. Nie uwidacznia w nich Zenon przesłanek, na jakich się opiera i nie określa bliżej, jak pojmować należy czas, przestrzeń i ruch. Analiza tych pojęć, czego starałem się dotknąć powyżej, umożliwia dopiero odpowiedź na pytanie, czy mogą istnieć ruchy w świecie fizycznym; bez niej wszelkie dowodzenie staje się czczą djalektyką.

B. Russel jest zdania, że argumenty Zenona były prawdopodobnie zwrócone nie przeciw możliwości ruchu, ile raczej przeciw zapatrywaniu, że przestrzeń i czas składają się ze skończonej liczby punktów i momentów. Trudności, podniesionych przez Zenona, można, zdaniem Russella, uniknąć, przyjmując, albo że przestrzeń i czas składają się z nieograniczonej liczby punktów, jak to n. p. zakłada obecna fizyka, albo że przestrzeń i czas nie składa się z punktów i momentów, jak to sądzi Bergson, albo wreszcie, że przestrzeń i czas nie jest niczem realnem. Czy istotnie Zenon nie chciał swemi argumentami zaprzeczać możliwości ruchu w świecie fizycznym, jak sądzi Russell, wydaje się to rzeczą dość wątpliwą.

Pogląd na świat słynnego Parmenidesa, poprzednika Zenona, i szkoły Eleatów, zdają się wskazywać, że argumentami swemi starał się Zenon dowieść głównej tezy współczesnej mu filozofji o jedności i niezmienności bytu.

Jakikolwiek zresztą był cel jego paradoksów, są one dowodem niezwykłej wprost bystrości greckiego filozofa, który pierw-

szy może zauważył i podniósł trudności, jakie ze sobą niesie nieskończoność.

JÓZEF ANDRZEJ TESLAR.

Cuda i czary.

(Wyjątki).

Cudowne ocalenie.

Stałem zamyślony nad brzegiem morza, gdy wtem ktoś, położywszy mi rękę na ramieniu, przemówił zcicha. Obejrzawszy się, spostrzegłem tuż za mną stojącego starego człowieka z twarzą uśmiechnioną i dobrą, w odzieniu rybaka.

— I tobie coś źle z oczu patrzy, mój przyjacielu — przemówił, zbliżając swą twarz ku mojej — jak tamtemu, któremu ocaliłem życie właśnie w tem miejscu, trzynaście lat temu... Tak jest! sam on to później cudownem ocaleniem nazwał i co rok do mnie wdzięczne listy pisuje w ten pamiętny dzień. Stary żeglarz — znam świat cały i morza wszystkie, widziałem wszystko i wszystko wiem, co o ludzkiej duszy wiedzieć można... Trzynaście lat właśnie dziś mija, jak wyłowiłem tonącego samobójcę tu u tego brzegu... Był to pewien młody księżyna, który, straciwszy wiarę w Boga nieśmiertelnego i nieśmiertelną duszę, nie mógł żyć bez odpowiedzi na swe dręczące pytania o Bogu i duszy i z rozpaczy rzucił się w morze... Kiedy się ocknął na mej piersi — pozwoliłem mu się wypłakać, utuliłem go, jak dziecko, a potem wskazawszy na to wielkie tajemne morze, zapewniałem go, iż Bóg go właśnie ku obrazowi prawdy szukanej przywiódł. Widzisz — mówiłem — te wody nieskończone? Zeszły się one tu, pędzone wspólną tęsknotą i musem nieodpartym ze źródeł całego świata... Narodziły się one na szczytach podniebnych gór, skąd biegły szalone i igrające i niewiedzące i hałasem swym ogłuszające wszystko dookoła — w doliny... Tu spokojniały przebiegając coraz to nowe ludy i krainy, pogłębiały swe koryta, dały się nawet do przeróżnych prac zaprząc, do obracania kół tartaków i młynów, do dźwigania czółen, łodzi i okrętów, lecz — gnane wciąż tą samą tęsknotą, szukały morza... I przyszły wreszcie leniwe, starcze, ze sił opadające, a smugi brudów wielkich miast niosące i wpadały niemocne w ten wielki grób wszelkich na ziemi żywiołów... Tu oczyszczone dusze

ich tęsknotą atoli wieczną dalej porywane są w niebo, stąd je oko Boże powołuje w górę na łodzie chmur... Lecz oto i tu poznawszy sklepienie niebios — tęsknić poczynają do ziemi, rozpłaczą się wreszcie, i wyrywając się chmurom, wracają ich duszę na ziemię — aby wciąż i wiecznie tęż samą odbywać wędrówkę... I widzisz — poznał obraz prawdy w morzu ten nieszczęsny księżyna i płakał i cudownie tak ocalony wrócił do prac i cierpień życia... I ty więc powróć!...

To mówiąc, skinął mi ręką, jak dziecku na pożegnanie... We mgle białej rozpłynęła się jego niebieska postać, ślady stóp jego wiatr w moich oczach zarównał, a ja i morze — westchnęliśmy...

Tęczowa suknia.

Dzieci gromadziły się zwykle o zmroku u kolan mamy i słuchały z zapartym oddechem. Mama opowiadała, głaszcząc długie i złote ich włoski, owe przecudne, przeokropne i przenajprawdziwsze w świecie bajki... O najcudniejsze godziny życia matki!... O najcudniejsze godziny życia dziecinnego!...

Razu pewnego po wielu bajkach i po wszelkich zapytaniach dodatkowych, a bardzo licznych i drobiazgowych, jakiemi bywała zawsze na koniec zasypywana, spytała mama dzieci:

— Jakie też każdy z was ma życzenie, któreby chciał mieć w życiu spełnione?

Najmłodszy krzyknął odrazu:

— Ja! na dzikim, urwanym koniu pędzić na złamanie karku!...

— A ja — jął powoli wygłaszać najstarszy — chciałbym mieć ten cały dom — i ten pokój duży i tamten drugi, a tata i mama żeby w kuchni mieszkali.

A średni Staś, rzekł:

— Jabym chciał mamusi sprawić tęczową suknię...

— Mamusiu! ja ci napewno sprawię tęczową, śliczną suknię — mówił chłopak z przekonaniem. — Będę się dobrze uczył i za pierwsze pieniądze, które zapracuję, kupię ci tęczową suknię...

Minęło lat kilkanaście.

Staś uczył się rzeczywiście bardzo dobrze, ale — wojował z ojcem i z mamą i z profesorami — poszedł precz z domu w obce miasto „szukać ludzi, dla których warto pracować“, wreszcie nie nauka mu była w głowie, lecz plany „wywrócenia tego całego złego i zgniłego świata“... Wszystko to skończyła nagle — śmierć Stasia...

Umierając, pogodził się Staś z tatą i mamą, płakał za domem i chciał doń powrócić i pacierz dziecinny sobie przypomniał, i na głos go odmawiając, skonał...

Odtąd zawsze, ilekroć słońce zachodzące krwawą tęczą niebo powlekało, mama łzy ocierała, myśląc, że to Staś przypomina jej, iż o tęczowej sukni zawsze dla niej pamięta... I rzeczywiście — pewnego wieczora ujrzała najwyraźniej, jak Staś uśmiechnięty i szczęśliwy tęczową suknię jej z tamtego świata podawał...

Był to ostatni zachód słońca, jaki mama na tym świecie w swem życiu widziała...

Drabina do Nieba.

Zosia starała się zawsze modlić wtedy, gdy jej nikt nie widział. Ale wtedy serduszko jej przestawało bić z pożądań świętych i nieskończonych...

Widziała siebie zawsze niegodną, skuloną u stóp olbrzymiej drabiny, której złote szczeble mknęły w nieskończoność nieba... Tam gdzieś u jej szczytu majaczył jej się wielki krzyż, obejmujący ramionami całe niebo, a choć czarny był i krwią polany, Zosia nigdy na nim Chrystusa Pana cierpiącego nie widziała, jeno jasność oślepiającą, albowiem samego Pana Jezusa na tym krzyżu niebieskim ujrzeć — nie czuła się godną...

Zosia o nic na świecie, ani dla siebie, ani dla drugich się nie modliła, jeno aby mogła choć tylko na ten ostatni szczebel się dostać, gdzie stał krzyż ów na szczycie złotej drabiny... Ale z wielkiego lęku i pokory nie śmiała stąpić ani na pierwszy jej stopień... A przecież całe życie o nic innego nie umiała się modlić...

Kiedy Zosia umierała, wysłuchał próśb jej Pan Jezus — i oto poczuła, jak Aniołowie pomagają jej wspinać się coraz wyżej... Szła tedy duszyczka Zosi tak przez tysiąc lat, a kiedy stanęła na ostatnim szczeblu złotej drabiny, wtedy z przerażeniem spostrzegła, że na jej szczycie nie krzyż stoi z cierpiącym Chrystusem, ale — nowa drabina brylantowa i słoneczna.

I oto znowu modli się Zosia w niebie wciąż, by mogła się dostać na szczyt owej brylantowej i słonecznej drabiny, ale ani na pierwszy jej stopień wejść nie śmie z wielkiego lęku i pokory.

I ze łzami rozmyśla u stóp owej nieskończonej drabiny, jak też teraz jej próśb po śmierci pan Jezus wysłucha...

O Królestwie Niebieskiem przypowieści pierwsze.

Onego czasu rzekł Jezus uczniom swoim:

— Podobne jest Królestwo niebieskie ziarnu gorczycznemu, które wziąwszy człowiek, zasiał na roli swej; które najmniejsze jest pomiędzy nasiony, a które gdy wyrośnie, większe jest, niż zioło wszelkie i drzewem się stawa, a na nie przychodzą ptacy niebiescy i w gałązkach jego ścielają gniazda swe.

I rzekł Mu Piotr:

— Panie! Twarda jest mowa Twoja, jakże Królestwo niebieskie nieskończone przyrównywasz ziarnu małemu, a drzewu, na które ptacy niebiescy przylatają?...

I rzekł mu Jezus:

— Zaprawdę! dano wam jest tajemnicę Królestwa niebieskiego wiedzieć — ale prostaczkom powiadajcie ją w przypowieściach. A tobie powiadam, iż Królestwo niebieskie przychodzi nie w przepychu światowym. I nie powiecie też: patrz, oto tu, albo tam jest. Albowiem, powiadam wam, Królestwo niebieskie jest wewnątrz was. Z Królestwem niebieskiem bywa tak, jako gdy człowiek nasienie na rolą rzuca, zasypia z nocą, a wstaje rano; a podczas wyrasta nasienie, a człek nie wie, jako się stawa... Tak i ty — niewiesz, jako się stawa, albo gdzie jest — a ja ci powiadam, iż nie z tego świata jest. A abyście wiedzieli, iż dana jest władza Synowi Człowieczemu świadczenia prawdzie, weźmi to ziarno, a rzuć je w ziemię.

I rzucił Piotr ziarno w ziemię, i stało się drzewo wielkie i cudne bardzo, a ptacy niebiescy przybieżali nań i zaśpiewali pienie Królowi niebieskiemu, a uczniowie pokląkłszy, uwierzyli w Królestwo Jego i odtąd już nie czekali, kiedy w Jeruzalemie na tronie siędzie...

O Królestwie Niebieskiem przypowieści wtóre.

I zasię powiedział Jezus:

— Podobne jest Królestwo niebieskie człowiekowi kupcowi, który drogich pereł szukał. I który znalazłszy najkosztowniejszą perłę, przyszedłszy, przedał wszystko co miał i kupił ją. Tak tedy

Królestwo niebieskie w tym świecie jest i przez świat ten gwałtem go jeno dobywać możecie.

I zapytał go faryzeusz niektóry:

— Mistrzu! jakoże mówisz teraz, iż w tym świecie Królestwo niebieskie jest, jeśliżeś wczora powiedział, iż nie z tego świata jest?

I rzekł mu Jezus:

— Plemię niewierne i rodzaj zły na Synu Prawdy fałszu szuka! Ale powiadam wam, iż nie z tego świata Królestwo Boże jest, a w świecie tym jest, jako nie z was jest, a przedsię w was mieszka. Albowiem podobne jest Królestwo niebieskie ukrytemu skarbowi w rolej, który niektóry człowiek nalazłszy ukrył go i poszedł ciesząc się zeń, sprzedał wszystko, co miał, i kupił rolą onę.

A przyszedłszy przed grób zmarłego przed trzema dniami garncarza rzekł:

Abyście, małej wiary widzieli, że i w ziemi tej Królestwo niebieskie jest, jako wam Syn Człowieczy powiada — rzekł umarłemu: Wstań!...

I wstawszy umarły, zawołał:

— Pozdrowion bądź Królu ziemie! Królestwo Boże z Tobą! Hosanna Synowi Dawidowemu!...

I chwaląc Go, powrócił w dom swój.

I rzekł Jezus, gdy dziwiły się rzesze:

— Zaprawdę, powiadam wam, iż Królestwo niebieskie w ziemi tej jest i w was jest, tak, jako niemasz domu bez pana i bez sługi. Z Królestwa Ojca mego każdy z was wyszedł i wróci się w nie — jako wyszedłszy z ziemie w ziemię obrócon będziesz...

Duch Boży, jako wiatr, wieje gdzie chce, a słysząc głos jego, przedsię nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd odchodzi.

Ale niewiernym wciąż cudu potrzeba, a nie wiedzą, jaki największy z cudów pomiędzy nimi się stawa, ani iż większe, niż cuda, są słowa Syna Człowieczego...



ĐR STANISŁAW KAWCZAK.

Ramoty wojenne.

I. W zadumie.

Na stanowisko przyprowadził go kapral. Tu na wprost ciebie, 400 kroków w dole, jest włoska linja tyraljerska. Na prawo ta mała górka, Creta Rosa; na niej są Włosi; tam mają baterję w skałach; na lewo Creta Zermula, tam też są oni, tam mają gniazda karabinów maszynowych. Tak uważaj i patrz prawił kapral; a jakby coś od nich szło, albo się ruszało, albo światło jakie było, to nie pytaj wiele, a z gwera [1] bij i za ten drut ciągnij, to wtedy przylecimy. Rozumiałeś?!

Rozumiałem, odparł Wojtek Gorczyca, choć dalibóg poplątały mu się te dziwne nazwy, że i ani jednej by nie wymienił, a w dodatku niewiele słyszał, bo wiatr gwizdał po uszach, bił śniegiem w pysk, że aż oczy łzami zachodziły. Na karabin nasadził bagnet, postawił do nogi i jął patrzeć w dół. Mimo śnieżycy widać było nieźle kontury gór, gdyż księżyc dochodził pełni, a gdy wichura zamierała na moment, widział stok góry, jak na dłoni. Po niejakim czasie uspokoiła się natura, śnieg przestał sypać, zeszły chmury, a z za gór wypełzł pucołowaty księżyc. Wtedy dopiero zorjentował się Wojtek, gdzie jest. Oto stał na cyplu skały; pod sobą, gdzieś głęboko, w dole, ujrzał brudną smugę, ciągnącą się bez początku i końca, która się ostro odrzynała od niepokalanej bieli śnieżnej. To Taliany [2], szepnął, chciwie wpatrując się w ciemny pas. Ogarnęło go wzruszenie, i przez chwilę szeptał: Taliany, Taliany.

Lecz cicho było u Talianów.

Czasem huknął strzał od strony austrjackiej, lub bzykła kula od Włochów, ale dla Wojtka, przyzwyczajonego do wrzawy bitewnej, znaczyło to niemal śmiertelną ciszę. Nijak, tylko pewnikiem rankiem pudą do ataku — myślał... — ha! ale jakże tu wyjdą. Toć pedali przy luzunku poprzednicy, że tu więcej, jak 3000 metrów. A góra prosta, żeby kozica nie wylazła, a cóż dopiero zołmirz z rynštonkiem [3]. I zaczął wzdychać, bo żal mu było i tych Włochów.

---

[1] karabin.
[2] Włosi.
[3] żołnierz z rynsztunkiem.

Hej! miły Boże! znał się on na wojnie lepiej, niż niejeden oficer. Ileż to bitew, szturmów odbył, ile ziemi zdeptał. Bo wszak już trzeci raz był na wojnie; wycierał się na froncie serbskim, rosyjskim, a teraz przyszedł na włoski. Los zawiódł do gór, gdzie dniami i nocami się szło, a droga wciąż szła w górę, jakby do nieba sięgała. W jego wyobraźni góry te nie miały końca, a czubami, to chyba w niebie siedziały. Aż nareszcie pod wieczór znąlazł się, ni stąd, ni zowąd, na szczycie. Był tak jednak zmordowany marszem, że mu się nic nie chciało. Dziwił się, leżąc w pełnem uzbrojeniu pod ziemianką, żołnierzom, którzy sobie chodzili, jak wiewióry po drzewach. Bóg wie od kiedy oni tu siedzieli. Mówili językiem dziwnym, jakby to małemi cepami walił po dachu. Oczy mieli, kieby małpy, alibo sowy, i na ziemi kucający pili kawę z ferflaszy[1]. Dziwny naród. Bóg wie, skąd to poprzychodziło. Jen wciągle, Boga mi! a i inaczej mówili. Hej! Taliany źle wama to było, żeście wojny k'ciały. Siedzielibyście doma, a i jo nie musiołbyk siurkać się po tych górach.

I złość go taka porwała, że chciał palnąć w ich stronę, ale przypomiał sobie surowy rozkaz porucznika Ptasia, by do Włochów nie strzelać, chyba, że sami zaczną.

Więc stał chwilę bez ruchu i patrzył ze swego stanowiska przez dziurę między worami ziemi na przeciwległe góry.

Przecież nie był rekruckiem[2] uchem, Jasiem zielonym, który od kuferka, niesionego na ramieniu, ma mokro za uchem, jak one rekrucięta, co świeżo lakierowane kuferki z płaczem do wojska niesą.

Żołnierz on stary... hej... stary. Przeszedł dużo, dużo na świecie. Przestrzeliły mu Serby szyję, ale w szpitalu wnet go wyleczyli, i już maszerował Wojtuś Gorczyca na równinach Polski przeciw Moskalom. Od Gorlic szedł w ogniu i dymie przez Jedlicze, Jarosław i hen dalej i dalej... pedali, że Warsiawę minęli... a tak szedł zeznojony, utrudzon, z bitwy w bitwę, od szturmu do szturmu. Kiebyk telo centów mioł, co granatów a śrapneli wedla mnie padło, kupiłbyk se od dziedzica całe pole. A tak cóże mom?

Tu spuścił głowę na dół smutny, ale gdy wzrok jego uderzył wiszący na płaszczu srebrny medal waleczności, podniósł głowę hardo. Albok to bele co?.. Cisarskiem dziecko. Pamięta ten szturm na Brześć Litewski, szedł kadet na przedzie, a woła, na-

[1] feldflasche — manierka.
[2] poborowy.

przód, naprzód, ale nie skończył, jak wychynął się w dół i padł na wznak.

A Wojtuś hyc! jeszcze 100 kroków, aż i nagle coś okrutnie pojaśniało i prasło. Leżał ci w szpitalu, mało duszy nie wyzipnął. Co przyjdzie doktór, machnie ręką i peda: „fertyg“, a Wojtuś nic. Patrzy z pod oka, a myśli. Nie! Ksiądz z olejami św. przyszedł, namaścił go, no i wnet potem się odmieniło. A było tak, że i sam wierzył, że umrzeć musi, i leżał obojętny na wszystko. Aliści potem, jak ozwarł oczy, a jęknął pić, jak się nie rzuciły pielęgniarki, doktory, jakiesik panie, jak zaczną chuchać i dmuchać, elektryzować, masować, aż i ozdrowiał. A jak ozdrowiał, to poszedł na front. Nic dziwnego. Dostał medal, ale cóż z tego, kiedy nie miał się przed kim pochwalić. Żeby to mógł se po wsi chodzić, paradować, ojcom sie pokłonić, sąsiadom i znajomym, a potem w szerokiem kole opowiadać, co przeszedł, co widział i słyszał. Rozdziawiłyby stare baby gemby, jak one wrota od stodoły, o onych górach, europlanach [1]), a dziewuszki... hej! — tu przymknął oczy, bo i zmora go brała. Marzył. Śnił, że pod pachą wiedzie swą Magduśkę, wleźli do karczmy na muzykę. Chłopy wywijają obertasy, skrzypeczki piszczą tidli... tidli... basy z cicha hum — ta! hum — ta! a znów klarnet krzyczy, że aż uszy bolą hej ta! hej ta! — U ha! u ha! rwie się z duszy. Leci podłoga w drzazgi, kurz przysłania migocące perkale dziewuch, które z oczyma spuszczonemi, jak frygi gonią, niesione silnemi ramionami parobków... A wtem on Magdusi coś do ucha mówi, no i oboje chyłkiem przez alkierz żydowski za stodołę do lasu. Wiedzie ją, prawą rękę pod grzbiet jej podłożywszy, a ona się wstyda i iść nie chce. Ale co u niego taki upór. Jeszcze silniej ją przygarnął, do ust jej swoje przyłożył. A wtedy świat się im zakręcił w oczach, i zdało się mu — lecą w jakąś dolinę... a dziwnie mu dobrze i słodko...

Ha! śpi na posterunku, słyszy za sobą głos dyżurnego oficera. Zluzować zaraz, jutro do raportu, doniesienie karne... słyszy Wojtuś oddalający się głos...

W parę pacierzy potem, zluzowano go. Kara miała go spotkać wielka, taka, by przykład dać innym. O tem wiedział. Czuł się winnym, więc schodził w dół bez słowa skargi, niczego nie żałując tyle, co pięknego snu, który mu tak brutalnie przerwano.

Findenigkofl 19/V 1916.

---

[1]) samoloty.

2. Hallucynacja.

Przyprowadzili go do mnie. Stanął blady, wystraszony. Szeroko rozwartemi oczyma patrzył na mnie, jakby w obłąkaniu.

Wtedy dźwignąłem się zwolna z krzesła i podchodząc ku niemu zmierzyłem go kilkakrotnie wzrokiem od stóp do głów, poczem wbiłem wzrok w jego oczy, chcąc je przeszyć do głębi, chcąc wypatrzeć w nich duszę.

Ale nic one nie mówiły.

Jeno był w nich ten obłąkańczy, zwierzęcy strach. Drżał cały. Ręce mu się trzęsły, uginały kolana, które prostował z wysiłkiem, o krok w tył za każdym razem postępując. Staliśmy tak chwilę naprzeciw siebie. Wściekłością powodowany nie mogłem słowa przekształcić. Miałem go karcić druzgocącemi zarzutami, miałem go wedle ułożonej przed minutą mowy, zmiażdżyć.

Toż to horrendum: huczało mi w głowie. Zastrzelić każę, jak mi Bóg miły, tego złoczyńcę.

Z posterunku ujść, taż to najnędzniejsza dezercja, sąd wojenny, a dla mnie, jako dowódcy, wstyd. Więc zacząłem go znowu przez parę sekund fiksować wzrokiem, jak gdybym go nim zabić chciał.

— Ty łotrze! — wyrzuciłem wreszcie ze siebie.

— Panie kadecie — próbował przemówić, lecz przerwałem mu, doprowadzony do ostateczności:

— Milcz! kanaljo! nędzny tchórzu!

— Nie mogłem panie kadecie — jęknął delikwent...

— Nie mogłeś?!! To jest subordynacja, to na to ci się tyle wykłada o regulaminach, żebyś ty bez zluzowania samowolnie z posterunku nie uchodził. O! poczekaj. Ja ci już pomogę.

— Nie mogłem. Musiałem... — począł się bronić. — O mało nie trzasnąłem go pięścią w łeb.

— Ty mi tu powiesz, że musiałeś, ty podła kreaturo, nędzny tchórzu... ja ci tu pokażę mus!! — grzmiałem.

Usiadłem do stołu, by meldunek podać służbowy.

Ale i leżący na stole telefon nasunął mi myśl, czyby w ten sposób sprawę nie lepiej było załatwić. Lecz poznałem, że mimo wszystko chodzi mi o jego usprawiedliwienie się, że chcę poznać jego psychikę.

Więc symulując, że piszę w jego sprawie, zwróciłem niby od niechcenia oczy na niego.

Stał przy drzwiach mej kawerny, małej, niziutkiej izdebki w skale wykutej. Po jego bokach stali wyprostowani, jak struny eskortanci: srogi, wąsaty plutonowy, oraz szeregowiec z najeżonym na karabin bagnetem.

Dezerter blady był, jak ściana i raz wraz drgawki nim podrywały.

— Co masz do powiedzenia przed śmiercią, bo rozstrzelać cię każę.

Wzdrygnął się na to, jakby prądem rażony.

— Widziałem ją, jak szła...

— Kto? co?! gdzie?!

— Szła panie kadecie, Pan Jezus świadkiem, szła od Taliana [1]) z kosą w ręce, dyrekcję [2]) na mnie miała.

W tej chwili zatrzęsły się małe szyby w okienku, gdzieś niedaleko buchnął granat.

— Jakem zocył, — ciągnął podsądny — że to lo mnie, ni mógem sie przemódz, strzeliłem.

— No i...

— A ona nic. Poskrobała się po kolanie, pewnikiem ją trafiłem... a potem w lauśrycie [3]) szła na mnie. Rękę ku mnie wyciągnęła. Ni mógem wytrzymać. Darujcie, darujcie panie... tu schylił się do mych kolan.

Odskoczyłem, jak oparzony. — Precz, precz odemnie! Uciekłeś, jak najnędzniejszy tchórz.

— I to bez gwera [4]) — wtrącił o srogiem obliczu plutonowy.

— Jakto?! — i karabin rzucił... — dziwowałem się.

Delikwent zaczął szlochać.

— Jo som już nie wiem, mówił, łkając przez łzy, cosik mnie tak sparło, że som już nie wiem, locegom [5]) to zrobił. Już tego więcej nie zrobię... odpuśćcie!! panie!... Doma czwioro dziecek i baba... darujcie panie...

Stanąłem przy oknie, by rozważyć tę sprawę.

Wichrzyca zerwała się gwałtowna, śniegiem sypiąc, choć miało się już ku Wielkiej Nocy.

W ponurym jej poświście jęczało coś z takim żalem, że i rezon straciłem.

---

[1]) Włocha. [2]) kierunek. [3]) biegiem. [4]) karabin. [5]) dlaczegom.

Zdawało mi się, że słyszę jego czworo dzieci, jak z płaczem proszą o życie ojca.

I jąłem się z sobą pasować. Ukarać go, dać przykład odstraszający innym — myślałem, patrząc w szalejącą zawieruchę... I przez chwilę już chciałem to uczynić.

A oto zdało mi się, że z zadymki śnieżnej widzę wyciągnięte ku mnie błagalne ramiona jego żony i czworo dzieci u jej spódnicy.

Wtedy duszę swą dźwignąłem nad wojskowy rygor. Przebaczę... a równocześnie zdemoralizuję cały oddział takiem postępowaniem. Nie! Nie! sapałem.

I znów wpatrzyłem się w śnieżycę. Aż naraz ścierpłem cały.

Na moment, na jeden, króciutki moment zdało mi się, że i ku mnie idzie ona, kostucha, z kosą w ręce. Odwróciłem oczy na izbę.

Wyprostowani stali dwaj żołnierze obok Nalepy, oczekując dalszych rozkazów.

Dość krwi! dość trupów — przemknęło mi w głowie. Więc i dałem rozkaz. Przeznaczyłem go na inne stanowisko.

Odszedł. W blaskach migotającego płomyka świecy widziałem oczy jego rozszerzone, w których trudno było wyczytać rozpacz czy radość.

Srogi plutonowy wąsa podkręcał we drzwiach, odchodząc, czego także nie umiałem sobie wytłumaczyć. Położyłem się na polowem łóżku, myśląc o ile właściwie postąpiłem. O tem, że żołnierz ten od lat dwóch na froncie był, że w niejednej bitwie brał udział, wiedziałem. Wiedziałem także, że tu, w okopach, nie doje, nie dośpi, że wyczerpanie fizyczne ducha mogło znękać.

Tak, ale przecież tego nie powinno się płazem puszczać.

I znów myśli moje otoczyło czworo dzieci z Nalepową w pośrodku. I za co? dla kogo lejemy tę krew. Kto wie, jak Austrja wywdzięczy się Polakom...

Dość rozmyślań! — wyrzekłem głośno sam do siebie. Sprawa załatwiona.

Lecz... dni trzy upłynęło.

Tak samo, jak wtedy, wicher się tłukł ze śniegiem po szczytach Alp karyntyjskich.

Siedziałem przy stoliku, szkic mych stanowisk kreśląc, gdy do izby mej wpadł plutonowy, zadyszany.

Stanął na baczność, rękę podniósł do daszka i opuściwszy recytował: panie kadecie, melduję posłusznie, nie zwidywało mu się.

— Komu? co? — zapytałem.

— Ano, Nalepie. Trafiło go. Zabitego my na poście[1] znaleźli. Zerwałem się, by iść go zobaczyć. A pnąc się do góry miałem wrażenie, jakby za mną z płaczem szła Nalepowa i jej czworo dzieci...

3. Gościnność.

Działo się to w roku 1914. Armja Dankla, po sromotnej porażce pod Lublinem, cofała się w pospiesznym pochodzie. Po paru dniach ulewnych, kiedy niebo, być może z żalu nad wzajem mordującemi się armjami dość się wypłakało, nastał słoneczny dzień wrześniowy. Wojska, które się jeszcze ocaliły, lizały się ze swych ran. Komendanci poszczególnych oddziałów przeglądali je szczegółowo, sprawdzając po raz setny, stan ludzi, koni, umundurowania, uzbrojenia i t. d.

Połowę wsi Jaśmienica zajmowały zabłąkane oddziały piechoty i kawalerji, drugą połowę sztab jednej z dywizyj austrjackich, oraz jeden pułk artylerji ciężkiej.

Wzdłuż całej długiej wsi widać było niezwykły obraz. Niczem cyganie. Żołnierze w potoku myli się do pół pasa, inni nogi, inni prali bieliznę, tu i ówdzie skupiła się spora ich gromadka dookoła ogniska, nad którem w garnku wrzały ziemniaki; leżeli łokciami oparci o ziemię, wpatrzeni w garnek, niecierpliwie oczekując, gdy ad hoc desygnowany kucharz zawyrokuje, że strawa gotowa. Gdzieniegdzie weselszy jaki grał na ustnej harmonijce: koło niego skupieni żołnierze delektowali się papierosami, paląc je w braku bibułki w gazetach lub listach. Jedni wygrywali hymn austrjacki, inni marsza Dąbrowskiego, gdzieindziej Rakoczego. Słyszałeś tam i smagłych Bośniaków, uderzających palcami na zaimprowizowanych cymbałach; mieszały się przekleństwa i śmiechy w języku czeskim, niemieckim, polskim, węgierskim i t. d. Na uboczu, pod ogromną lipą, jakiś nabożny żydek, okręciwszy rękę pasem, z nałożonem na czoło pudełkiem kiwał się wprzód i w tył, wyjąc dziwaczne modły.

Na gościńcu tłoczyły się tabory, baterje haubic i dział polowych, wozy sanitarne, samochody. Powietrze napełniały krzyki

---

[1] posterunek = stanowisko.

i nawoływania ludzi, rżenie koni, ryk zarzynanego bydła, trąbki samochodów. A nad wszystkiem dominował oddalony pomruk dalekonośnych armat, które biły z nad Sanu poprzez bagna i lasy, aż na miasteczko Zaklików. Słońce zachodziło czerwoną tarczą, kładąc długie cienie na ziemi, lecz ruch w Jasienicy się nie zmniejszał. Na gościńcu szły nieustannie pułki piechoty, artylerji; trudno było tam doszukać się początku i końca. Pomieszane to było wszystko i skłębione. Tuż za bataljonem piechoty wepchnęły się samochody, za baterją dział górskich szły ambulansy Czerwonego Krzyża. Na lipach rozciągali telefoniści druty, co chwila przebiegali konni jeźdźcy, to znów motocykliści, warcząc, gnali na wszystkie strony.

Już się na dobre zmroczyło, gdy do wsi wkroczył oddział ludzi, nie przekraczający 50 żołnierzy. Po ich zewnętrznym wyglądzie poznać można było, że ciężkie przeszli chwile. Zabłoceni tak, że i włosów czepiały się kupy błota z twarzami nad wszelki wyraz zmęczonemi szli, a raczej wlekli się. Paru z nich podpierało się karabinem, zamiast laski, inni gałęziami odartemi z konarów, inni ręce nieśli na temblaku. Niektórzy głowy mieli obandażowane. Szli pochyleni pod ciężarem tornistrów, z czapkami na tył głowy osadzonemi. Trudno było orzec, czy to był oddział bojowy, czy też zbiorowisko maruderów i dezerterów. Na czele tego oddziału szedł chorąży Sarna. I jego mundur schlapany był błotem. Na twarzy brud tworzył ciemne smugi. Dość piękną twarz szpeciły nieregularne kłębki włosów, jakie na brodzie wyrastały. Oddział ten znajdował się już w środku wsi. Chorąży obejrzał się, a widząc, że oddział maszeruje w każdej innej formacji, tylko nie wojskowej, zmarszczył brwi i ostro zakomenderował „stać“. Żołnierze machinalnie stanęli. Ledwie rzucił rozkaz spocznij, a już wszyscy runęli na ziemię, nie bacząc na błoto, ani wodę w rowach przydrożnych.

Sarna popatrzył bezradnie i rzekł: Tak zdziadowani nie możecie iść, jeszcze by was pan dywizjoner kazał zamknąć. Plutonowi do mnie marsz!

Postąpili karnie naprzód. Każdy z was będzie uważał na swój pluton, aby mi się nikt stąd na krok nie oddalił. Ja tymczasem skoknę do dywizji i dowiem się, gdzie ludzie dostaną jeść. Odejść! Plutonowi zasalutowali i odeszli do plutonów.

Chorąży przedzierał się poprzez zbity kordon na gościńcu. Omal nie stratowały go olbrzymie konie, do małych górskich

działek zaprzągnięte. Idąc, uginał kolana od szalonego znużenia. Uczuł senność, pragnienie i głód. Szedł, jak we śnie, nie słysząc krzyków woźniców.

Parę razy potknął się o przydrożne kamienie, raz omal że nie wpadł pod koła samochodu. Nic to — powtarzał, byle się dostać do dywizji; tam napoją, nakarmią, tam się człek wywczasuje. Już widział się w duszy, jak lokuje swój oddział na stertach słomy, jedzą, piją, a potem śpią z otwartemi ustami.

Nagle stanął przed jakimś okazalszym domkiem. Nad napisem „Szkoła", unosiła się chorągiew. Było to dowództwo dywizji. Sarna stanął na chwilę, przetarł oczy i zwolna wsunął się w małą, z boku stojącą bramkę. Powitał go posterunek, wyciągniętą wzdłuż rzemienia karabinu ręką.

Dobry omen! — pomyślał i śmielej wszedł w podwórze kwatery dywizyjnej. Na podwórzu skoczył na niego ze wściekłem ujadaniem wypasiony buldog. Sarna machinalnie sięgnął do torebki z rewolwerem, zaś psa kopnął z taką siłą w mordę, że pies zawył, do niego zaś podszedł żołnierz w dżokejce i rzekł po niemiecku: to jest pies ekscelencji, więc proszę uważać. Sarna wpatrzył się w ordynansa ekscelencji, i jakby nie słysząc, co ten mówił, zapytał:

— Która to dywizja?

— „Was net" [1]) — odparł zapytany.

Sarna przez chwilę wahał się, czyby tego bezczelnego służącego również nie poczęstować kopnięciem, lecz po namyśle splunął i dodał głośno: Psiakrew!

Na progu tymczasem ukazał się stosunkowo młody podpułkownik. Sarna bez namysłu przystąpił do niego i jął go prosić o kwaterę dla ludzi... lecz podpułkownik odparł lakonicznie: „Ich bin da selbst Gast" [2]) — i odszedł.

Chorąży stał, jak skamieniały. Takie przywitanie — myślał. Za te przeklęte tygodnie nędzy, gdzie z bitwy szedł w bitwę, przy ofenzywie, jako przednia, przy odwrocie, jako tylna straż osłaniał tych jaśnie panów, bronił obcej mu ojczyzny, i ten pludrak go tak ignoruje.

Służba tymczasem wynosiła na podwórze stoły i stoliki, które złączono w jeden długi stół, do którego przystawiano różnorakie krzesła, zydle obok głębokich foteli, ławki. Stół nakryto śnieżno-

---

1) Nie wiem. 2) Ja tu sam gościem.

białym obrusem. Powietrze napełnił brzęk talerzy, sztućców, butelek. Na gwałt uwijała się służba, bo i już kilku wyższych rangą oficerów zajęło miejsca przy stole. Sarna stojąc w kącie podwórza, szeroko rozwartemi oczyma śledził ten ruch i krzątaninę. Jakto?! to tam na przedzie od trzech tygodni wiodą ludzie iście psi żywot, śpią w rowach, tygodniami nie widzą ciepłej strawy, a ci tu uczty sobie urządzają... straszne.

Zamajaczyły mu w głowie obrazy bitew, z których dopiero co uszedł. Huk, łoskot, jęki, świst, ziemia w strzępy rwana, dymy pogorzelisk... a nad tem czająca się śmierć na każdym kroku... „Was wünschen sie da eigentlich“ [1]) — usłyszał naraz krótko do niego zwrócone słowa. Chorąży w jednej chwili ocucił się. Przed nim stał świetny oficer dragonów. W prawem oku wygolonej twarzy spoczywał monokl, lewą ręką, uzbrojoną w szpicrutę, uderzał niecierpliwie po wysokich, lśniących, lakierowanych butach. Stał przed chorążym, mierząc go wzrokiem pełnym zdumienia i pogardy dla nikczemnej odzieży, czy niskiego stopnia oficerskiego. Szpicruta coraz szybciej spadała na błyszczącą cholewę, oczy coraz przenikliwiej patrzyły na skonfundowanego chorążego.

Lecz opanował się nieco i meldował: Panie rotmistrzu, chorąży zapasowy, Edward Sarna, przedstawia się najposłuszniej. — Rotmistrz ani drgnął. Przyszedłem z kompanją 20 p. p. Szedłem przy odwrocie, jako tylna straż 24 brygady. W lasach lipskich kozacy z drzew, na których poustawiali kulomioty, rozbili brygadę. Zabrali tabory, cztery działa i trzysta ludzi. Pułk kolejowy został rozbity. Minierzy wymordowani. Nadszedłem z odsieczą i zagarnąłem jedną sotnię oraz 2 oficerów.

— Das war ihre Pflicht [2]) — przerwał rotmistrz.

Wysadziłem 2 km kolejki polowej. Wtedy nadszedł 164 pułk rosyjski; w walce zginął dowódca kompanji, ja objąłem zastępstwo.

Obecnie chcę połączyć się z 20 pułkiem, ale nic nie wiem, gdzie go szukać.

— Z której pan dywizji?

— Z dwunastej — panie rotmistrzu.

— Dwunasta, dwunasta — cedził rotmistrz przez zęby... zaczekać.

---

[1]) Czego pan sobie właściwie życzy.

[2]) To był pański obowiązek.

Podszedł następnie do jednego ze sztabowych oficerów, poszeptał chwilę, i wróciwszy rzekł:

— Prawdopodobnie będzie we wsi Zasanie, napewno nie wiem. Stąd ośmnaście kilometrów.

Ośmnaście kilometrów — powtórzył, jak echo, przerażony chorąży.

— Co mam robić? — zapytał głucho...

— Co robić?! maszerować — powiedział ostro rotmistrz zniecierpliwiony, gdyż do stołu pousiadali niemal wszyscy. Ordynansi roznosili dymiące wazy.

Dolatujący do nozdrzy chorążego zapach pieczeni, zbudził w nim wprost zwierzęcy głód.

— Panie rotmistrzu — począł bełkotać, gdyż słowa więzgły mu w gardle — czy, czybym nie mógł dostać — tu skłonił głowę w stronę stołu — choć chleba. Od trzech dni nie jedliśmy... Rotmistrz aż podskoczył. — Waaas? [1]) — dziwił się, mierząc go od stóp do głów, a wkońcu dodał kategorycznie: — „Schauen Sie, dass Sie abfahren [2]). — Sarna okrył się szkarłatem. Takiej zniewagi jeszcze nigdy nie słyszał. Ścisnął mocniej kosz szabli, zdawało mu się, że się rzuci na rotmistrza. Lecz ten, orjentując się w sytuacji, drzwoniąc ostrogami, odszedł. Poczekajcie psiekrwie austrjackie, jeszcze wy nas poprosicie — syknął Sarna, poczem wrócił do swego oddziału. Na ziemi rozłożył mapę i dłuższy czas studjował okolicę, nakoniec czerwonym ołówkiem kreskę pociągnął aż do wskazanej przez rotmistrza wsi, poczem wstał i sucho zakomenderował: — Wstać! i marsz!

Stękając i kaszląc, dźwignęli się żołnierze, uformowali kolumnę marszową. Oddział ruszył, kierując się w stronę, skąd mroki szły i jakby błyskawice. Kto wie — myślał — dywizja może już w ogniu, a on tu...

Tarnobrzeg, 18/IX 1914.

4. Ofiary.

— Matulu!?

— Cóż syneczku?!

— Pódziewa do kościoła?

— Nie! — dziecinko.

---

[1]) Cooo? [2]) Patrz pan, abyś znikł.

— A przecieście rano mówili, bym wstał wcześniej, bo pójdziemy do kościoła.

— Nie, Jasiecku! ni możemy, bo na Wólkach wojna tero — mówiła Maciejowa, ocierając krajem fartucha łzy.

— ...Wojna?... — dziwił się chłopiec. — A z kim to wojna?

— Ano bijom sie panowie, bo im za dobrze było. I nawet tej świętej niedzieli nie uszanują.

O parę wiorst dalej leżące Wólki, były terenem zapasów. W od świtu trwających walkach porały się wojska austrjackie i rosyjskie o posiadanie tej wsi. Od świtu grzmiała artylerja, jak oszalała. Słychać było bezustanny warkot karabinów. Huki te wypłoszyły wszelkie stworzenie, a mimo to z najbliżej położonych chałup mało kto uszedł, czy to przez nieuświadomienie sobie niebezpieczeństwa, czy też przez ślepe przywiązanie do siedziby.

W odosobnionej zagrodzie Maciejowej były tylko trzy osoby. Ona, sześcioletni Jasiek i stary, niedołężny teść, głuchy, a i słabo widzący. Męża Macieja, jak tylko wojna nastała, pobrali w carskie sołdaty, i tak została sama.

W izbie zapanowało milczenie, przerywane coraz to zbliżającym się odgłosem kanonady, jakby gromów burzy nadciągającej.

— A co to tak dudni? — pytał znów Jasiek.

— Harmaty — odrzekła gospodyni, patrząc z rozrzewnieniem na małego pędraka, który włożył palec w buzię i stał cały zasłuchany we wzmagający się grzmot.

— Halmaty?.. a co to som halmaty?

— Ruły żelazne... siarke polom w nich...

— Sialkę, sialkę — powtarzał chwilę, poczem usiadł przy piecu i zajął się układaniem z polan drzewnych figur geometrycznych, sobie tylko zrozumiałych.

Maciejowa jęła się krzątać koło obiadu. Ale robota jej nie szła.

Słyszała wprawdzie od paru dni ryk dział, ale sama myśl, że już na Wólkach jest bitwa, trwogą ją przejmowała. Jakoż od wczesnego ranku grzmiało tam.

Czasem ponad dachem jej domostwa gwizdnęło coś tak przenikliwie, że aż mały Jasiek z krzykiem przypadał do jej kolan, a ona sama, ledwie żyjąc ze strachu, gładziła jego jasne kędziory i uspokajała go: nie bój się kochanie, to górom wiater idzie.

A gdy tak coraz częściej gwizdało, a w ślad za tem z od-

dali huk szedł donośny, zrozumiała, że przyczyną owych niesamowitych poświstów były kule armatnie...

— Jezu! Jezu! — wzdychała za każdym razem.

Na myśl jej przyszedł mąż; gdzie też ten biedaczysko się obraca — myślała... — może zabity, i załkała cicho, patrząc szklanym wzrokiem na okno. W tem ujrzała niezwykły widok. Od strony Wólek, na drodze, ukazała się kurzawa, która w miarę zbliżania się w stronę jej domostwa rosła coraz bardziej, aż zaczęli się z niej wyłaniać jacyś jeźdźcy, ludzie, wozy, konie. A naokoło przez pola biegli żołnierze. Wszystko to gnało w szalonym pędzie. Krzyki i palba napełniły powietrze.

Maciejowa patrzyła, nie mogąc zrozumieć, co to takiego, gdy wtem z trzaskiem rozprysła się szyba w oknie, kula karabinowa przebiwszy szybę, trafiła w garnek wrzących ziemniaków; woda z wywróconego garnka w jednej chwili zalała ognisko. Para napełniła izbę.

Maciejowa z przestrachu aż przysiadła na ławie. Z komory tymczasem, obok będącej, dochodził smętny głos teścia, który nie słysząc, ani dobrze nie widząc, co się dzieje, śpiewał: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie“!

Nagle sykło coś nad domem i w tejże chwili grzmot straszliwy się ozwał.

Jeszcze nie zdążyła się otrząsnąć ze strachu, gdy drugi i trzeci raz to samo się powtórzyło. Nawet teść usłyszał, czy też odczuł ten huk, bo aż zahybotała chałupa.

Przerażona Maciejowa nie zauważyła, że mały Jasiek wybiegł tymczasem z izby. Patrzyła przez okno na pole, przez które pędem gnali rosyjscy żołnierze. Widziała, jak czasem między nimi coś trzasło, słup ziemi i ognia wydarł się w górę. Jezu! Jezu! — szeptała.

Już drugą szybę strzaskała karabinowa kula, a ona wciąż siedziała, jak sparaliżowana. Czuła, że powinna uciekać, a nie miała sił. Teść, który tymczasem wyszedł na dwór, wrócił z okrzykiem: Gore! gore! To ją ocuciło.

Zerwała się i pędem wybiegła na dwór.

Jakoż płonęła stodoła. Snopki niewymłóconego jęczmienia strzelały w górę, trzeszczały krokwie. Lecz oto ujrzała widok najstraszniejszy. Na ziemi, koło furtki ogródka, leżał jej Jasiek z przestrzeloną głową. Krew zalała mu całą twarz. Dziecko trzepotało rączkami i nóżkami chwilę. Maciejowa z wyciem przypadła do

drgającego dziecka. Nie pomogły jej łzy, ani szlochy. Mały Jaś za chwilę przeniósł się na tamten świat. Wtedy ogarnął ją obłęd. Świat cały ujrzała w czerwonej purpurze. Porwała zwłoki dziecka na ręce i z krzykiem wybiegła w pole. Nie widziała płomieni, nie słyszała trzasku palących się bierwion stodoły, ni świstu kul, ni teścia, który grozą przejęty, z załamanemi rękoma, stał jak posąg boleści wobec szalejących żywołów.

Biegła opętana warjacką myślą, cudownego ocalenia dziecka z protestem przeciw zabójstwu jej syna. Biegła płacząc, to klnąc okropnie. Krew dziecka spływała po jej odzieży, osiadła nawet plamami na jej twarzy. A ona, nie widząc nic, ani nawet zdolna uświadomić sobie, czego właściwie chce, pędziła oszalała, jak furja, naprzód i naprzód, aż potknęła się o figurę Matki Boskiej i padła bez sił, a po długiej, długiej chwili podniosła oczy do góry, a widząc serce Matki Boskiej przeszyte siedmiu grotami, jękła: — O Matko Najświętsza, Tobieć me dziecko ofiaruję... — I znów zalała się łzami. Lecz wraz z tem wracała jej przytomność umysłu.

Bitwa była skończona.

Rosyjskie wojska cofnęły się, za niemi szły austrjackie pułki w tyraljerze... ustał grzmot artylerji; tylko na polach leżały zwłoki poległych, trupy koni, porzucane karabiny, tornistry... Słońce świeciło, jak zwykle...

Staszów, 26/X 1914.

5. Strach.

Słońce zachodziło za lasy czerwoną, jak krew tarczą, kąpiąc w swych blaskach ziemię, lasy i rowy strzeleckie. Zwolna leżące przed nami pobojowisko, zaścielone trupami, zroszone krwią, zryte granatami, zasnuły sinawe opary, za któremi szedł mrok, w szatę swą otulając okolicę. Po hałaśliwym dniu, pełnym ryku armat, gwizdu kul, huku i wrzawy, nastał spokój, błogosławiona cisza.

Niemal z nabożeństwem oglądałem grę blasków konającego słońca.

W piekle dzisiejszej bitwy uszedłem śmierci. Wprawdzie w uszach miałem ciągle wrażenie gwiżdżących jej posłańców, i jeszcze spoglądałem w górę, zali nie sunie zdradziecki, ciężki granat, czy też nie szybuje szrapnel, przecież jednak nic nie szło. Uspokoili się ludzie, a natura, jakby chcąc z nimi się zestroić, ścichła również.

Więc z rowu strzeleckiego patrząc na ono dostojeństwo przyrody, wpadłem w marzycielski nastrój; w wyobraźni swej przypomniały mi się obrazy wsi zapomnianych, spokojnych... Skrzypią żórawie studzienne, porykuje bydło wesoło... Och! wsi spokojna, wsi wesoła... Pieściłem w duszy wspomnienia tej wsi, bo współczesna straszną mi się zdawała, skazana wrażą ręką na zagładę.

Ileż to razy widziałem jej mieszkańców, jak pozbawieni dachu nad głową, ciągnęli na wózku nędzny swój dobytek, nieraz wśród deszczu kul.

Niezapomniane to obrazy.

To dola chłopa polskiego, któremu palono nędzną lepiankę; cóż można było wyczytać w jego oczach, gdy widział, jak płomienie liżą ściany jego domostwa, jak tam w środku coś trzeszczy i z hukiem zapada się dach... siedziałeś od dziada pradziada we wsi, pracowicie orząc i siejąc, aż oto nagle dziki najeźdźca z zachodu i wschodu zagrodę twą z ziemią równa. Idź dokąd chcesz, chroń się w lasach czy jarach...

Luzowano nas tymczasem.

Zeszliśmy z pozycji, ciesząc się nadzieją wypoczynku.

Kilka kilometrów za pozycją była mała, uboga, lecz czyściuchna wioseczka. W niej rozlokowałem, jak mogłem, kompanję. Sam śmiertelnie znużony już rzuciłem się na posłanie, gdy nagły rozkaz stawienia się przed majora, wyrwał mnie z pościeli. W parę minut meldowałem się już u dowódcy bataljonu.

Czułem, jak mi dygotały nogi od wycieńczających trudów dni poprzednich.

Służbowy raport i instrukcje udzielone przez dowódcę II baonu 20 p. p., majora Miszke, wstrzymały mnie dłuższy czas w kancelarji. Już po 11 w nocy wyszedłem na dwór.

Chmury tymczasem zasnuły niebo i począł mrzyć deszcz drobny, a przenikliwie zimny. Ciemno było tak, że nie mogłem policzyć palców u dłoni. Droga do tej części wsi, gdzie leżał mój oddział, prowadziła przez bagno. Rozważyłem to wszystko i postanowiłem zostać na nocleg u majora, a to tembardziej, że o czwartej rano miałem się stawić po nowe rozkazy. Ale w izbie już było ciemno. Nie chciałem przerywać snu majorowi, który nie mniej odemnie był go spragniony i postanowiłem tych parę godzin przespać na strychu, wiedząc z doświadczenia, że sen na sianie, zaścielającem poddasze, stokroć lepszy, niż w obcem łóżku.

Po drabinie, którą w ciemnościach namacałem, wydrapałem się na górę. Chciałem odłożyć plecak i broń, ale znużenie powaliło mnie na ziemię. Ległem na wznak, dzierżąc w prawej ręce sztuc, gotów każdej chwili do wymarszu.

Czapkę głęboko wsunąłem na głowę, i zamknąwszy powieki, usiłowałem zasnąć. W mózgu moim wirowały jeszcze obrazy przebytych bitew i szturmów, w uszach trzask, słyszałem i świsty, jednak absolutna cisza, mącona tylko cichym szelestem deszczu, rychło mnie uspokoiła.

Zwolna skleiły mi się naprawdę powieki, gdy nozdrza moje uderzył dziwny zapach.

Chwilę wciągałem tę woń w siebie, chcąc jakość jej rozróżnić. Coby to mogło być — rozważałem — najwidoczniej majaczy mi się — pomyślałem, i chcąc spędzić chorobliwe fantazje, machnąłem przed się ręką, i bezwładnie opuściłem dłoń. Ale cóż to? — sam głośno się odezwałem. Pod palcami wyczułem guzik wojskowego płaszcza. Iluzja! — przekonywałem się w duchu, ale dotknięty drugi guzik upewnił mnie, że istotnie to część odzieży żołnierza. Eh! — pomyślałem... no to co? — niech sobie będzie. I jeszcze mocniej zwarłem powieki. Ale ta woń przenikliwa... co to jest? Nozdrza moje powtórnie uderzył ów dziwny zapach, do głębi przenikający. Mam gorączkę, czy nie? — leżę na sianie, a to chyba takiej woni nie wydaje.

Szarpnąłem ręką, i o przebóg! natrafiłem na coś zimnego, a wilgotnego. Była to ludzka ręka.

Tak! czułem ją najwyraźniej. Uczułem, że myśli poczynają mi się mącić. Przed oczyma jęły mi skakać szkielety, piszczele, czaszki chybotały się, skrzypiąc, jak żwir.

Och! — jęknąłem. Cóż za straszny sen. Oburącz podparłem się. Nerwowo wyjąłem zapałki i nie bacząc na możliwość wzniecenia ognia, próbowałem je zapalić. Wilgotna siarka i przemoczone ściany pudełka nie wydawały tak pożądanego blasku. Wypsułem wszystkie bezskutecznie. Ciemność nieprzebita panowała wokoło. Zatraciłem zwolna pojęcie przestrzeni, zapomniałem, gdzie było wejście. A woń, ta trupia woń, coraz mocniej i mocniej się rozchodzi. Wyjąłem z bocznej kieszeni bluzy elektryczną latarkę, choć wiedziałem, że ostatnia baterja już była zużytą. Na moment błysło światło, oślepiając mnie. I znów ciemności zaległy poddasze. Zdobyłem się na ostateczny wysiłek woli.

Namacałem zimną rękę i idąc po jej śladach, wyczułem pod dłońmi szyję, usta, wąsy, oczy... ludzkie.

Istotna prawda, jak piorun mnie uderzyła. Spałem obok trupa. Tajemnica demonicznej śmierci, uczucie przeraźliwej pustki i strachu wprost zwierzęcego mnie ogarnęło. Bezwiednie, instynktownie porwałem karabin i rzuciłem się naprzód. Nie mogę pojąć, w jaki sposób znalazłem się na dole. Było to ostrożne zejście po drabinie, czy skok ryzykowny, ale szczęśliwy...

Na dole oparty o drzwi czuwał posterunek. Zdobyłem u niego zapałki, które mi wyświetliły tajemnicę.

Na górze leżały zwłoki żołnierza z przestrzeloną głową.

Prawdopodobnie ranny w czasie bitwy doczołgał się tutaj, i niewiadomo, w jaki sposób się na górę wydrapawszy, życie zakończył. Zrezygnowałem z wonnego siana.

Wiązkę słomy rzuciłem pod strzechę i ległem znużony, zziębnięty, głodny... próżno usiłując na godzinę zasnąć...

6. Na kwarantannie.

Dzień już był i słońce wysoko się wzbiło, gdy porucznik artylerji zbudził mnie słowami: — Dzień dobry, jesteśmy w porcie.

— W porcie? — pytałem informatora, czyżby to już była Zsolna?

— Tak, tak — potwierdził porucznik.

Nie było się co namyślać. Próbowałem z małem powodzeniem wyprostować zbolałe od leżenia w skurczonej pozycji członki; przestrzeloną nogę ostrożnie ułożyłem na poduszce, podłożonej celem uniknięcia wstrząśnień i zacząłem pakować swe rzeczy. Niewiele ich było. Papierośnica, zapałki, chusteczka, notes, ot! i cały majątek żołnierza. Plecak ze wszystką zawartością przepadł podczas transportu z placu boju pod Surochowem do szpitala. Pociąg stanął na przystanku, specjalnie na czas wojenny wybudowanym, i by ułatwić transport rannych i chorych, przytykał bezpośrednio do baraków, stanowiących ogromny kompleks w pustej tu okolicy.

Był to szpital-miasto. Dobrotliwe ramiona silnych sanitarjuszy wyprowadzają mnie z pociągu i składają na nosze. Z ogromnego, długiego pociągu wychodzą o własnych siłach lub z pomocą sanitarjuszy inni ranni i chorzy.

Wyładowanie odbywa się w największym spokoju i porządku.

Wytrenowani w tej pracy sanitarjusze, w lot odgadują myśli pacjentów. Na razie złożono mnie w cieniu kasztana. Służbowy oficer kierował akcją rozlokowania rannych.

Niebawem znalazłem się w hali pawilonu, gdzie miano nas poddać gruntownej dezynfekcji.

Służba poubierana w kostjumy ciemnej barwy, z kapturami zarzuconemi na głowę, przez których otwory, tylko oczy widać było, żywo zakrzątnęła się koło ceremonjału obmycia synów Marsa. Rozebrano nas, i tak w Adamowych strojach przeniesiono do łaźni.

Wielki Boże! — co za ironja.

Oto przedstawicielki płci pięknej odchylają ogromne prześcieradło, w jakie mnie otulono, delikatnie dźwigają z noszy. Tysiąc myśli, uczuć, ciśnie mi się na myśl wobec tej bezceremonjalności nadobnych sióstr, a ponad wszystko myśl: bodajem się w ziemię zapadł. Nie wiem, ale przypuszczam, że byłem, jak burak czerwony, gdy mnie te bieluchne rączki do wanny z wodą, sublimatem zaprawionej wkładały.

Ogarnęła mnie rozkosz nurzania się w ciepłej wodzie. Wtem śliczna, w całem tego słowa znaczeniu pielęgniarka, odziana w biały fartuch, dzierżąc w lewej rączce mydło, a w prawej szorstką rękawicę, schyla się nademną. Generalne mycie zaczyna się od głowy. Czuję, jak po czaszce trze się mydło, i w chwilę potem, ogromne płaty mydlin wpadają do wody, na ramiona, wgryzają się w oczy, włażą do ust... gorzko! pfuj! zaczyna mi się robić słabo. Ale sanitarjuszka w krytycznej chwili chlusnęła wodą, i wkrótce otwarłem oczy, parskając, jak pies z wody wyciągnięty.

Delikatne paluszki tymczasem, palącą obręczą kręcą się poparte mydłem po szyji, karku, ramionach... O ho! będzie źle... myślę. Ogarnęła mnie, przyznam się, panieńska wstydliwość. Już czułem jej dłonie na piersiach. Ho! ho! — myślałem, a co dalej. Jak ona może patrzeć — pomyślałem, i znienacka zerknąłem na nią wzrokiem. Z pod nakrycia à la kornet kształtnej główki, patrzyły na mnie figlarne, czarne oczy. Ha! Ha! Ha! — śmiała się, gdym po tem niespodziewanem spotkaniu jej oczu spuścił głowę na dół zawstydzony, jak student gimnazjalny na randce. — A co, źle panu? – pytała. Piękna Węgierka okazała się jednak niewzruszoną w wypełnianiu powierzonego jej zadania. Z wprawą rutynowanego masażysty ślizgają się jej palce po mojem, biednem ciele; w pół minuty byłem gotów z kąpielą. I znów czworo niewieścich rąk wyjmuje mnie z wanny. Czarnooka Samarytanka sta-

rannie wyciera mnie ręcznikiem, i w chwilę potem wnoszą mnie sanitarjusze na noszach do pokoju operacyjnego. Szereg lekarzy, lekarek, sióstr w swych śnieżno-białych szatach z zakasanemi rękawami, uwija się koło rannych. Lecz jakże odmienny przedstawiali widok pierwsi, pełni zdrowia i sił od nieszczęśliwych żołnierzy. Przysłoniłem ręką oczy, tak przykry był widok ostatnich, pozbawionych rąk lub nóg, z odstrzelonemi szczękami, poszarpanemi głowami. Na stole operacyjnym leżał młody, może dwudziestoletni chłopak o bardzo miłym wyrazie twarzy. Szafirowe jego oczy błądziły po suficie: widać nie chciał oglądać braku nóg, z których jedną miał odciętą niemal po biodro, drugą powyżej kolana. Miejsce ich zajęły grube zwoje waty. O czem on myślał. Może o rodzicach, którzy i tak cieszyć się będą, że żyje, może o jakiej dziewczynie, która mu miłość dozgonną przysięgła...

Z koleji i mnie na stole ułożono. Jedna z sióstr ostremi nożycami rozcina mokry bandaż na nodze, lekarz naczelny palcami dotyka miejsca wlotu i wylotu kuli. Tsss... boli... psiakrew... — syczałem mimowoli. A to Polak — odzywa się operator, patrząc na mnie swemi poczciwemi oczyma z poza okularów. — Polak, panie doktorze — odpowiedziałem uprzejmie, jakkolwiek srogi ból czułem w nodze, po owem opukiwaniu. Lecz rodak, mimo narodowej wspólnoty, okazał się nieczułym na cudzy ból. Sączącą się czarną krew wygniatał bez litości. Następnie zalał rany jakimś płynem, świat żeński owinął nogę watą, okręcił bandażem, następnie zostałem obleczon w świeżą bieliznę i wreszcie na trójnogim wózku wywieziono mnie poprzez długi szereg sal do pawilonu, oznaczonego znakami D—6.

O wy, pożałowania godni ludzie, którzy nie mieliście szczęścia czy ochoty służyć w wojsku!

Wam zdaje się, że wy wiecie, co znaczy rozkosz wywczasów.

Nie! — spytajcie o to żołnierza, który czas służby wojskowej przedwojennej spędzał w nocnej porze na sienniku, którego twardość i szczelność jest warunkiem zadowolenia szefa kompanji czy baterji, lub wizytującego dygnitarza. Pamiętam, że w pierwszych dniach służby u Marsa, kładąc się na spoczynek, oburącz trzymałem się i tak trudnych do ujęcia fałdów siennika. Nazajutrz zbudziłem się z wrażeniem, jakby mnie kto tęgo kijem po grzbiecie wybił. Uszy miałem od woreczka napełnionego słomą, a pełniącego funkcje poduszki, napuchnięte, w sercu żałość i ból. Ale to należy do dziejów rekruta, a ja już dawno przedzierzgnąłem

się w skórę starego żołnierza. Kilkomiesięczny pobyt na polu walki przekonał mnie, że macierz-ziemia jest najlepszem łóżkiem, płaszcz doskonałą kołdrą, a pięść wybornym jaśkiem. Czapki na noc się nie zdejmuje, bo nóżby alarm, i gotóweś uciekać, jak turecki święty. Raz trafiło mi się, że z braku miejsca i materjału na pościel, wsunąłem się w beczkę, pełną plew aż po szyję, głowę nakryłem czapką i spałem plecami o ścianę oparty, jak w niebie. Inna rzecz, że przez dwa dni przechodziłem męki Tantala, nimem się z owych plew zdołał otrząsnąć. Pozatem śpi się w rowie, pod mostem, w życie, w kopie siana, w szańcach, słowem, gdzie wypadnie. Z czasem to człek polubi takie życie, nauczy się rozróżniać pachnące, świeże siano od zgniłej słomy.

Lecz wracam do rzeczy.

W wygodnie urządzonym pawilonie znajduję ostateczne pomieszczenie. Rozkoszowałem się sprężynowem łóżkiem i materacem więcej, niż ładna panna jeszcze ładniejszym kostjumem. Dwoma łykami wypiłem podaną mi winną zupę, i podrzucając się z radości, że na prawdziwem śpię łóżku, z nadmiaru wrażeń, brakiem spoczynku znużony, z otwartemi ramionami, jak bomba, wpadłem w objęcia bożka snu.

* * *

A musiałem kamiennym spać snem, gdyż, według relacji nachylonej nademną złotowłosej blondynki z turkusowemi oczyma, od pół godziny budzono mnie wszelkiemi możliwemi sposobami. „Rosół wystygnie zupełnie“ — przekonywała mnie troskliwa jadłodawczyni w języku niemieckim.

Podparłem się rękami, chcąc usiąść i począłem ziewać i przecierać oczy. Miałem niecny zamiar oszukania pielęgniarki, i, upewniwszy ją, że naprawdę jeść będę, znowu się położyć. Podstęp się nie udał, a głód zwyciężył resztki w popłochu umykającego Morfeusza. Rozglądnąłem się po ogromnej sali.

Kilkadziesiąt łóżek z przydanemi im stolikami, zdobiło szpitalną salę. Na środku znajdowało się kilka długich stołów. Gwar panował wielki, kilku oficerów grało w karty, w szachy, inni czytali książki, dzienniki, dochodziły mnie odgłosy rozmów, prowadzonych we wszelkich językach, jak niemieckim, węgierskim, czeskim, kroackim, nie mówiąc polskim, ba, nawet za sobą słyszałem język rosyjski. W istocie byli to ranni jeńcy rosyjscy.

Nie mogłem oprzeć się ciekawości i przyglądałem się im tak, jak w cyrku ogląda się dzikie tygrysy, z dżungli pochwycone. Bo wszak dotąd widziałem ich tylko, jako nieprzyjaciół, czyhających na nas. I aż wstrząsnąłem się, przypomniawszy sobie ich krótkie urra! ich karabiny w szturmie, długiemi bagnetami zaostrzone, skośnookich Tatarów, smukłych Kirgizów, smagłych Czerkiesów i urodziwych Gruzinów. Któżby zresztą zliczył tę powódź ras i narodowości rosyjskiego państwa! Teraz otośmy w bratniej zgodzie. Czerwony krzyż na opaskach sanitarjuszy przypomniał mi wyraźnie, że jednak ludzkość na dnie nosi zaród szlachetności. Lecz się nad tem głowią adepci wszelakich nauk, filantropowie czy filozofowie. Dla nas żołnierzy inna etyka. Gdy dowódca każe, to my tylko spytać możem, młodzi Niemlicze, „Ociec prać?“ — no i prać. Inna kwestja, że specjalnie nam, Polakom, w służbie zaborczych mocarstw, jakżeż trudno pogodzić sumienie polskie, które protestuje przeciw pomaganiu mocarstwom centralnym, ale o tem cyt!!.. jeszcze niepożądany cenzor złapie to w rękę, i... kram gotowy. Jeśli Piłsudski uznał za stosowne walczyć przeciw Entencie, to widać musi mieć uzasadnienie, choć dalibóg nijak z tem nie mogę się pogodzić. Pssst... dość! dość!...

Dziesięciu było obrońców państwa białego cara, w tem siedmiu istinno-ruskich z nad Wołgi czy Newy, 2 Polaków i kozak z połtawskiej gubernji. Zachowywali się cicho, lecz jakby z godnością. Zdołałem zauważyć, że towarzyskiem obejściem ujęli sobie nawet nieprzyjaciół, bo wielu oficerów z armji austrjacko-węgierskiej podchodziło do nich i korzystając ze znajomości wszelkich języków, nawet łacińskich i greckich używając wyrażeń, rozmawiali z sobą. Przeważnie posługiwano się językiem francuskim. Mimowoli wciągnięto i mnie w tok dość błahej dyskusji z dziedziny taktyki wojennej. Wkrótce też zwąchałem się z rodakami i wspólnie biadaliśmy nad dolą Polski, której dzieci wzajemnie w siebie godzą.

Służba tymczasem wniosła dwóch nowych jeńców rosyjskich. Obydwaj ranni armatnią kulą, obaj z początkami gangreny. Pierwszy z nich był blady, a raczej żółty. Tylko czarne oczy w głąb wysadłe, świeciły gorączkowemi błyskami. Nos rzymski odcinał się ostro od wychudłej twarzy, ozdobionej bujnym, czarnym zarostem. Długa lśniąca broda, oraz gęste, długie włosy na czaszce nadawały mu pozór proroka; współtowarzysz nie wiele się różnił. Od strony ich łóżek dochodził mnie ich jęk. Pierwszy mimo prze-

bytej operacji, gdyż wykrojono mu duży kawał mięśni na udzie, był przytomniejszy i od czasu do czasu zasypiał. Natomiast drugi miał sparaliżowane nerwy, tak, że nawet wargami nie poruszał, jeno z cicha jęczał. Ręce oparte miał na łokciach, i trzymał je do góry wzniesione. Jeść obaj nie mogli, całem ich pożywieniem było mleko i koniak. Byli to, jak się później dowiedziałem, dwaj bracia z kazańskiej gubernji. Z chwilą wybuchu wojny przywdziali mundur z szlifami oficerskiemi i stanęli w szeregu obrońców carabatiuszki. Przypadek, a raczej los chciał, że obaj ranni byli od jednego granatu, obaj leżeli obok siebie, obaj na drodze do... wieczności. Wszelkie zabiegi sztuki lekarskiej nie pomogły. Zwłaszcza u pierwszego, Iwana, gangrena przeszła poza biodro i zaczęła atakować serce. Aż dotąd wykrawano kawały ciała, napróżno jednak. Piotr, młodszy, mimo pozornego złego wyglądu miał się lepiej, gdyż gangrena była powyżej kolana i to prawej nogi.

Było to w piątym dniu po ich przybyciu. Zajęty byłem kolacją, gdy posłyszałem, że Iwan zaczął głośniej, niż zwykle jęczeć, poczem naraz ustał, a uszu mych dochodził głęboki oddech. Odsunąłem talerz zaniepokojony, — i nie omyliłem się. Iwan konał wśród długich, przeciągłych oddechów, które demonstrowała podnosząca się i na bok spadająca głowa.

Złociste promienie zachodzącego słońca oświecały wychudłą twarz jego. Nad nim stała jedna z sióstr, lekarz i współtowarzysze broni, rodacy. Naraz konający coś szepnął. W mig pojęto życzenie. Tuż obok leżącego brata przysunięto z łóżkiem. Poznali się obaj, dolę swą zrozumieli.

Poczem Iwan jeszcze raz głowę wzniósł do góry, oczy mu słupem stanęły i tak pozostał bez ruchu.

I cisza, dziwnie uroczysta nastała. Zwolna poklękali wszyscy z modlitwą za konających. Siostra tymczasem zamykała oczy nieboszczykowi. Na obcej skonał ziemi, setki mil od matki, żony i dzieci, i prochy jego spoczną na wrażej mu ziemi. W godzinę potem weszli tragarze. W ponurych swych strojach dezynfekcyjnych z kapturami na głowach, zdawali się przypominać owych straszliwych sędziów inkwizycji. Obojętnie ułożyli zwłoki na noszach i wynosili, przeprowadzani szklanym wzrokiem Piotra. Gdym się mu lepiej przypatrzył, zauważyłem spadające na poduszkę grube, częste łzy. Przy drzwiach ktoś śpiewał smutną jakąś pieśń rosyjską.

Mrok zapadł, i wieczór zapadł spokojny i pogodny, jakby przeczył tej strasznej tragedji dziejowej, której tylko echa były w szpitalach. Refleksyjny mój humor przerwał mi mój służący, donosząc, że wnet pojadę. Jakoż i w pół godziny potem weszli sanitarjusze z noszami, by mnie odnieść do pociągu, idącego do Wiednia. Pięciodniowa kwarantanna była skończona. Jąłem też spiesznie się zbierać...

Zsolna 3/VI 1915.

MARJAN FLASIŃSKI.

Myśli przewodnie polskiej polityki zagranicznej.

I. Położenie Polski.

Polska będąc w niezmiernie trudnem położeniu geograficzno-politycznem w Europie, z powodu wciśnięcia między masę germańską z jednej strony i morze rosyjskie z drugiej, musi szukać drogi wyjścia z ciężkiej sytuacji dla zachowania swej egzystencji. Nie posiadając bowiem szerokiego oparcia o Bałtyk między Wisłą a Niemnem — na skutek błędu popełnionego w 1226 r. przez wprowadzenie Zakonu niemieckiego do dzisiejszych Prus Wschodnich, traci naturalną podstawę działania dla swej polityki niepodległościowej. Ze względów gospodarczych natomiast ma Rzeczpospolita wiele trudności, leży bowiem między przemysłowemi Niemcami, a rolniczą, potrzebującą produktów przemysłowych, Rosją. Polska zaś agrarna, znajdując się na drodze wymiany produktów między wschodem a zachodem, musi odegrać rolę pośrednika. Jak to ma zrobić, aby nie stracić samodzielności, i stać się czynnikiem wpływowym, z poniższego przeglądu układu sił i dążności sąsiadujących z Polską państw się okaże.

II. Sąsiedzi.

a) Niemcy.

Siedemdziesięcio-miljonowy naród niemiecki po utracie kolonij i rynków zbytu na Bałkanach i Turcji, szuka ekspanzji dla swego wysoko rozwiniętego przemysłu na wschodzie Europy. Oprócz ekspanzji gospodarczej istnieje u Niemców parcie etniczne z po-

wodu przeludnienia we własnym kraju. Droga najmniejszego oporu prowadzi dla systematycznych i cierpliwych Germanów przez terytorja romantycznych Słowian. Wśród ludów słowiańskich pierwsza z kraju leży Polska.

1) Stan obecny i w przyszłości.

„Nie powinniśmy się dać łudzić i dawać posłuch frazesom, twierdzącym, że gdy w Niemczech zapanuje duch republikański i demokratyczny, to przestaną oni być postrachem militarnym dla Europy. Krótkowidze przypuszczają, że duch militaryzmu był cechą junkrów, kierujących armją i polityką niemiecką do roku 1918. Jest to pojęcie zupełnie błędne; duch militarny jest rysem psychologicznym całej rasy germańskiej, która w dążeniach do celu odznacza się energją, nieprzebierającą w środkach, a jednym z tych środków prawie zawsze była i na nieszczęście długo jeszcze będzie brutalna siła.“ [1])

Przez wojnę naród niemiecki zmienił dużo swych ideałów; padły ideały ustroju i instytucyj politycznych, „ale pozostał w całej swej sile ideał ekonomiczny i rozrósł się ideał, znajdujący się w zaczątku, mianowicie: ideał socjalny. Te dwa ideały są w ciągłej sprzeczności i zwalczają się wzajemnie. Jest to walka ciężka i żmudna, ale przyglądając jej się uważnie, już dziś można przepowiedzieć, że zwycięży ideał ekonomiczny, robiąc pewne ustępstwa ideałowi socjalnemu. Będzie on o tyle silniej opanowywał społeczeństwo, gdyż, w połączeniu z ideałem socjalnym, będzie jedynym ideałem Niemiec. Gdyby przed rokiem 1914 był on czynnikiem dominującym, Niemcy bez wojny byłyby opanowały świat cały. Jest rzeczą bardzo wątpliwą, aby ideał ekonomiczny niemiecki był w przyszłości zupełnie antymilitarny. Wychodząc z psychologji rasy germańskiej, można z pewnością powiedzieć, że w razie potrzeby i o ile chodzić będzie o zrealizowanie celów ekonomicznych, naród niemiecki nie zawaha się nadal używać brutalnej siły, jako środka zupełnie naturalnego: wojsko niemieckie będzie miało inny charakter, innych kierowników, ale duch pozostanie tensam, silniejszy nawet, bo militaryzm niemiecki nie będzie wtedy przywilejem jednej klasy lub kasty narodu, jak to było przed r. 1914, nie będzie narzędziem do ziszczenia ideałów klasy pangermanistów,

---

[1]) „Współczesna polityka zagraniczna Anglji i jej stosunek do Polski“ 1921. MIP. Rozdziały: Źródło ducha militarnego w Niemczech i ideały...

ale będzie on narzędziem do przeprowadzenia celu ekonomicznego, tego ideału, który ogarnął naród cały. Im ściślejszą będzie kolaboracja tych dwóch ideałów — ekonomicznego i społecznego — tem groźniejszem niebezpieczeństwem będą Niemcy dla Europy, a przedewszystkiem dla nas."[1])

b) Rosja i państwa Bałtyckie.

Trudno w chwili obecnej postawić kwestję Rosji mniejwięcej tak, jak Niemiec, ponieważ wielkie te obszary wschodu, na których rozsiadły się ludy niedawnego imperjum, przedstawiają ze względu na swój ustrój społeczno-polityczny: zagadkę. Przypuszczać tylko można, że po zrozumieniu bankructwa eksperymentu bolszewickiego społeczeństwo rosyjskie zatęskni do życia normalnego, a obaliwszy rządy dzisiejszych władców, zwoła konstytuantę. Jaki konstytuanta zadecyduje ustrój, republikę czy monarchję, przyszłość pokaże. W każdym razie Rosja, aby żyć, musi pozostawać w stosunkach z państwami, z któremi ją łączy i łączyć będzie interes ekonomiczny. Polska, jako najbliższa jej sąsiadka, nie posiada tak silnie rozwiniętego przemysłu, aby zaspokoić wszelkie potrzeby Rosji, siłą faktu więc Moskwa dążyć będzie do zdobycia najwygodniejszego połączenia z Berlinem. (Nie możemy przytem zapomnieć, że Niemcy przygotowują się do opanowania rynków zbytu na wschodzie). To jest moment gospodarczy, który bez względu na sytuację polityczno-społeczną w Rosji będzie zawsze odgrywać główną rolę. Sprawa państw Bałtyckich, ich polityczna niezależność, przedstawia się dla Rosji, jako zatarasowanie dostępu do Bałtyku, przez porty w Libawie, Rydze i Rewlu, a więc znowu jeden z czynników dla Rosji niemiłych, w jej programie gospodarczym.

c) Mała Ententa.

„Mała Ententa jest wskrzeszeniem idei partji liberalnej angielskiej, propagowanej pod nazwą „Confédération Danubienne". Ta federacja miała na celu utworzenie zrzeszenia państw, które wrogo usposobione dla Niemiec, mogły były zatamować dążenia tychże w kierunku Azji. Idea takiej zapory była aktualna pośród liberałów angielskich w okresie, kiedy wynik wojny i zupełne rozbicie Niemiec nie były jeszcze kompletnie zapewnione. Ta „Fe-

---

[1]) „Współczesna polityka zagraniczna Anglji i jej stosunek do Polski" 1921 MIP. Rozdziały: Źródło ducha militarnego w Niemczech i ideały...

deracja Dunajska", jak poprzednio wspomnieliśmy, miała jednocześnie trzymać w szachu Włochy w ich dążeniach morskich, nie dopuszczając ich do hegemonji nad Adrjatykiem. Z chwilą zupełnego rozgromienia Niemiec idea tej federacji przestała być aktualną dla liberałów angielskich, cieszy się jednak ich sympatją ze względu na aspiracje włoskie. Przyszły stosunek Niemiec do „Federacji Dunajskiej" (w razie, gdyby się utworzyła) niewiele przeszkadza partji liberalnej angielskiej, bo polegałby on jedynie na stosunkach handlowych między Niemcami a państwami Bałkańskiemi, t. j. wskrzeszonoby znów projekt ekonomiczny w środkowej Europie (Mitteleuropa)." [1]) Zanimby Niemcy przy pośrednictwie państw Bałkańskich dosięgli dla eksploatacji terenu Azji Mniejszej, musieliby zbudować na nowo flotę handlową, a dla ochrony tejże wojenną, co na długi okres czasu jest nie do urzeczywistnienia.

Mała Ententa teoretycznie ma na celu utrzymanie „status quo", ustanowione przez traktat wersalski i przez traktaty, które były jego następstwem. „W skład tej Ententy wejdą przeważnie państwa agrarne, które dla uzupełnienia potrzebować będą państw przemysłowych i handlowych: takiemi są Rzesza Niemiecka, a przedewszystkiem zmniejszona Austrja, na którą musimy patrzeć, jak na przedmieście Rzeszy Niemieckiej. Już dziś ten, kto śledzi za rozwojem Wiednia, dostrzega, że miasto owo stanie się w przyszłości węzłem, łączącym handel na Bałkanach z środkową Europą. Niemcy, a szczególnie Austrja, posiadają zbyt rozległe stosunki i znajomości w dziedzinie handlu w krajach bałkańskich, aby można było handel ten z rąk im wytrącić. Wobec tego chociaż Mała Ententa ma formalnie na celu utrzymanie klauzul traktatów, które, tak powiemy, były pieczęcią w stosunku do wielkiej wojny, taż Ententa z czasem będzie organem, ułatwiającym przeprowadzenie ekonomicznej koncepcji „Mitteleuropy". [2])

Narodem, dla którego Mała Ententa nie przedstawia interesu ekonomicznego — to Czesi. Sami bowiem są krajem przemysłowym, przy tworzeniu Małej Ententy myśleli, że opanują handel na Bałkanach i zamkną drogę Niemcom, ale tu łudzili się, tak, jak i wtenczas, kiedy myśleli, że opanują cały teren rosyjski. „Rusofilizm

---

[1]) „Koncepcja „Federacji Dunajskiej" i stosunek do niej partji liberalnej angielskiej", rozdział z Współ. Pol. Zagr. Anglji i jej stos. do Polski.

[2]) „Ekonomiczny stosunek Małej Ententy do Niemiec w przyszłości", rozdział Pol. Zagr. Anglji i jej stos. do Polski.

czeski jest wynikiem oślepienia ekonomicznego, które doprowadziło do wmawiania w siebie, że Czechy będą mogły sfinansować handel i przemysł rosyjski.“ [1]) Ale kierownicy polityki czeskiej zrozumieli, że sami są narodem za małym, aby opanować kolos rosyjski, i postanowili podzielić się w eksploatacji z Niemcami, myśląc, że im przypadnie stanowisko naczelne. „Łudząc się bezustannie korzyściami, które Czechom dać może w Rosji kolaboracja z Niemcami, poświęcą realne korzyści handlowe, które mogłaby im dać Mała Ententa.“ [2]) Dla Polski natomiast Mała Ententa może być niebezpieczeństwem: otoczeni bowiem będziemy blokiem czecho-niemiecko-bałkańskim z jednej, a Rosją z drugiej strony, która to Rosja jest terenem dla eksploatacji powyższego bloku.

III. Zakończenie.

Polska racja stanu musi się zdecydować, czy mamy być wałem ochronnym między Niemcami a Rosją, jak na konferencji pokojowej chciała Francja, czy mamy tworzyć most pomiędzy temi dwoma państwami, jak chciała Anglja i Ameryka. Niech nikomu się nie zdaje, że wybranie drugiej ewentualności może rozluźnić dobre stosunki z Francją, nigdy, sojusz z Francją jest i pozostanie najżywotniejszym interesem Polski.

Ale Polsce w chwili nietylko obecnej, ale i zawsze na przyszłość potrzeba będzie jak najwięcej przyjaciół. Dlatego wydaje mi się, że usilne dążenie do wykazania Wielkiej Brytanji (która jest, jak już doświadczyliśmy na sobie, prawie decydującą w targach międzynarodowych), że rozumiemy dobrze skomplikowane interesa ekonomiczne w Europie i wybranie drugiej ewentualności, może nam przynieść tylko same korzyści. W stosunku do naszych sąsiadów, a więc: z Rosją — to, porzuciwszy pretensje do tak zwanej Polski historycznej, należy dążyć do przyjaznej umowy, a nasz stosunek do państw bałtyckich powinien budować przyszłe pośrednictwo nasze między Rosją z jednej, a Łotwą i Estonją z drugiej strony. Sprawę litewską należało i należy załatwić przez zwołanie sejmu w Wilnie, który zadecyduje o przyszłości swego kraju, rozwiązując w ten sposób możliwość sporu tak wobec Litwy, jak i ewentualnie wobec Rosji. Nasz stosunek do Ukrainy powinien być wyczekujący. Nie chcę przez to powiedzieć, że się nie uznaje prawa narodu ukraińskiego do niepodległego bytu,

[1]) Strona 70. [2]) Strona 71.

tylko, że Polska z każdym narodem, który zdobył swą państwowość wejdzie w jaknajprzyjaźniejsze stosunki, o ile cieszyć się będzie wzajemnością — byleby Polacy raz przestali swą krwią budować obce państwa, które niewiedzieć, czy w przyszłości przeciwko swym dobroczyńcom się nie zwrócą — nam bowiem nikt nie pomagał. Ewentualne bowiem porozumienie na razie między dwoma de iure i de facto istniejącemi państwami słowiańskiemi, Polską i Rosją, być powinno kamieniem węgielnym pokoju z tej strony Wisły.

Co do Małej Ententy wprawdzie nie zdołaliśmy przeszkodzić w utworzeniu zaczątków przyszłej „Mitteleuropy", ale za to dziś jeszcze można odrobić dużo błędów, ułatwiając Czechom możność wygodniejszego handlowania ze Wschodem. Krokiem takim byłaby umowa polityczno-handlowa, zawarta przez p. Skirmunta, o ile interesa Polski są w niej na równi z czeskiemi zagwarantowane.

W stosunku do Niemiec, to „Polska już od całego szeregu wieków popełniała jeden wielki błąd; wpatrzona w czarujące ją „zielone grzęzawisko" Wschodu, pchana tam jakiemś dziwnem pragnieniem wielkich i szerokich przestrzeni, odwracała się od dorzecza Odry i... Wisły, tracąc tam jednę twierdzę po drugiej i ustępując Niemcom krok po kroku z odwiecznych sadyb lechickich. Wynikało to po części z naszego wiecznego romantyzmu, rolniczego charakteru ludności i polskiej lekkomyślności. Zdobywaliśmy laury na Wschodzie, ustępowaliśmy zaś przed systematycznym, spokojnym, z zaufaniem w swe siły kroczącym Niemcem, który i teraz, nawet tem bardziej teraz, gdy mu drogę na zachód odcięto, na wschód iść chce i, jeśli ma żyć, iść musi. Grozie niebezpieczeństwa musimy spojrzeć po męsku w oczy i szukać środków zaradczych".[1]) Wynika więc z tego, że stojąc niezachwiane przy naszych granicach zachodnich i mając ciągle w opiece części naszego narodu, pozostałe w łonie Rzeszy Niemieckiej, winniśmy umiejętnie wyzyskać uczucie ideału ekonomicznego u Niemców, udowadniając im, że nie stoimy na przeszkodzie w ich eksploatowaniu Rosji. Utrudniając w ten sposób współpracę niemiecko-czeską, która ma za ideał przez stosunki handlowo-przemysłowe opanowanie ekonomiczne Rosji, doprowadzimy do rozbicia bloku powyższych dwóch państw, które przez naszą wyżej opisaną działalność straciłyby potrzebę wspólnych wysiłków. Co do Rumunji, to zawarty z nią sojusz jest obopólnie potrzebny, z jednej strony bowiem

---

[1]) „Ogniwo" Nr 2, listopad 1920, artykuł wstępny.

wzmacnia pozycję Polski, wobec Rosji, ułatwiając przez to pertraktowanie co do przyjaznej sąsiedzkiej umowy, z drugiej strony zaś, daje Rumunji spokojną i pewną granicę od północy.

S. R.

Przegląd ostatnich wydawnictw.

Eugenjusz Małaczewski. *Koń na wzgórzu.* — Gebethner i Wolff, 1921.

Bogaty zbiór nowel p. Małaczewskiego powstał w ostatnich latach wielkiej wojny i w pamiętnym roku wojny polsko-rosyjskiej. Nowele p. Małaczewskiego są czemś więcej, niż echem tych krwawych czasów. Są poprostu ich odbiciem, streszczeniem, często pamiętnikiem wiernym a bardzo ciekawym.

Niedola żołnierza polskiego, rzuconego na bezbrzeżne przestrzenie Rosji, walczącego tam z przemożną hordą bolszewicką o całość swoich organizacyj wojskowych, o życie własne i własną godność człowieka i Polaka, ginącego w śniegach murmańskich, w stepach sybirskich i traconego w dziki sposób w straszliwych więzieniach „czerezwyczajki“ — oto co jest głównym tematem opowiadań młodego nowelisty. Nie jest to jednak wszystko jeszcze: w nowelach takich, jak „Państwo ponurej anegdoty“, „Cor cordium Poloniae“, „Koń na wzgórzu“ żywo występują wypadki z przed roku, dręczące, bolesne dni lipca, kiedy to ciężka zmora niewiary i rozpaczy zawisła nad krajem, zmora, którą dopiero zwycięstwo żołnierza rozwiało.

Ten obfity, choć pozornie dość jednostajny temat traktuje p. Małaczewski w sposób, któryby można nazwać publicystycznym, z tem zastrzeżeniem, że nie jest on pozbawiony pewnych dążeń artystycznych. Nowela p. Małaczewskiego jest niewątpliwie tendencyjna, jest w dużym stopniu pisana „ku pokrzepieniu serc“. Pozatem ma jeszcze cel inny: chodzi mianowicie o to, by w czytelnika wpoić cały wielki zapas entuzjazmu, jaki autor żywi dla jędrnej i zdrowej polskości, przekonać go, ile siły twórczej mieści dusza polska, ile mocy, tężyzny i energji tkwi w mazurskich kościach. Na tej drodze narodowego samouwielbienia dochodzi młody pisarz aż do granicy nieprawdopodobieństwa, gdy n. p. w obrazku[1])

---

[1]) „Blokhauz pod Syreną“.

dowodzi, że tylko polski żołnierz dawał sobie radę na Murmaniu, on jeden był w stanie zbudować sobie bezpieczny i ciepły „blokhauz“. Anglicy zaś okazali się w tej materji dyletantami, niedołęgami, przez własną niezaradność skazanymi na szczękanie zębami. I jakżeż tu nie mówić o dziwnem szczęściu Anglika, który w porównaniu z polskim chłopem jest taką mizerotą, a mimo to panuje nad lądami i morzami! „Blokhauz pod Syreną“ o ile z jednej strony jest wyrazem polskiej energji i zaciętości, o tyle w daleko większym i prawdziwszym stopniu świadczy o charakterze twórczości p. Małaczewskiego, przynajmniej tej twórczości, która znalazła wyraz w omawianym zbiorze nowel.

Gdyby nie to, że umiłowania narodowe młodego autora, ogarniają przedewszystkiem tragiczne przeżycia duszy polskiej i jej zmagania się o wolny byt, możnaby mówić wprost o jakimś wybujałym szowinizmie. Na szczęście nowele p. Małaczewskiego mają podkładu politycznego stosunkowo niewiele. Inna rzecz, gdy autor przenosi się w dziedzinę zagadnień kultury i cywilizacji narodowej oraz kultury rosyjskiej, zwłaszcza z jej przyprawą bolszewicką. Olbrzymia, przepastna różnica dwuch światów staje się źródłem namiętnych ataków przeciw pierwotności i barbarzyństwu wschodniemu. Rosyjska, czy też tylko bolszewicka dzikość i krwiożerczość, cynizm i perfidja przedstawicieli nowego „rewolucyjnego“ porządku są istotnie mocnym kontrastem do szlachetności i wewnętrznego piękna — bohaterów p. Małaczewskiego. Tkwi w tem pewne niebezpieczeństwo dla artysty, który często widzi w swojej postaci przedewszystkiem umiłowanego żołnierza, przeoczając poprostu człowieka z jego tajemniczą, skomplikowaną strukturą duchową.

Nasuwają się te zastrzeżenia szczególnie z racji noweli „Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica“. Dwaj kochający się serdecznie bracia, Zwadowie, obaj pojmani legjoniści, mają za parę godzin zginąć od podłych kul „czerezwyczajki“. Obaj młodzi, kwitnący zdrowiem, obaj żołnierze ofiarni. Tragizm zjawia się w formie mocnej, dręczącej. Ale w ujęciu p. Małaczewskiego pierzcha szybko, zmożony jakimś patosem, jakąś obfitą, zbyt obfitą deklamacją. „Jerzy mówił o czemś do brata powoli, jakby przypominał z siebie rzeczy cudowne a głęboko dotychczas ukryte. Było tam: o domu, o matce, która nigdy nie będzie wiedziała, jak pomarli jej synowie, o towarzyszach niedoli żołnierskiej, co może doczekają żywi niepodległej Polski. Najwięcej jednak obchodziła go Ojczyzna.

Gdy o niej mówił, był w swej ekstazie anhellicznej nieskończenie, marzycielsko piękny“.

To zachowanie się żołnierza przed zgonem jest wzniosłe i wzruszające, a przecież chciałoby się usłyszeć te gorące słowa tęsknoty za matką i domem, za cichą a radosną młodością. Chciałoby się poznać stosunek tych ludzi do życia, zobaczyć całego możliwie człowieka. Człowieka w obliczu śmierci. — Nic z tego: est tylko Polak *moriturus*. Autor uprościł sobie tragiczny problem śmierci. Co prawda, przygotował nas na to zawczasu: Zwadowie mianowicie byli „wychowani w czasach, gdy religijność była wyśmiewana, a tradycja ojców — z młodych głów wyparta przez europejską filozofję, wykalkulowaną przez żydów i duchochowych ich bastardów...“ Żołnierzowi nie jest potrzebną „filozofja“ i niewłaściwe są subtelności nawet w przeddzień śmierci — ten prosty wniosek nasuwa się nieodparcie i o to, zdaje się, chodzi autorowi. P. Małaczewski jakby zapoznaje wielką część istoty ludzkiej, czyni z niej ofiarę na rzecz tej samej polskiej tężyzny i mocy, o której pisze i w „Blokhauzie“, ale tam bez tragicznego nastroju.

Ofiara to niemała i z innego względu. Patrjotyczny publicysta zasuwa w cień artystę, który powoli schodzi na plan drugi. Czasami niepodobna się oprzeć wrażeniu, że pewne wyjątkowo silne, z brutalnym naturalizmem graniczące efekty (żywy koń, odarty ze skóry) są jakby nagłym zwrotem od tej jedynej, na chwilę nie słabnącej tendencji autora: wrogów wiary i ojczyzny pohańbić, własny naród na niedościgłych pokazać wyżynach.

Oto dlaczego trudno jeszcze dziś mówić o p. Małaczewskim — artyście.

„*Przegląd Warszawski*“ miesięcznik, poświęcony literaturze, sztuce i nauce. Rok I, Nr 1 (tom I), Warszawa 1921 r. Instytut wydawniczy „Bibljoteka Polska“.

Nowy miesięcznik ukazuje się zamiast wychodzącego przez szereg miesięcy „Nowego przeglądu literatury i sztuki“, przyczem zarówno redakcja, jak i program uległy poważnej zmianie.

Zamiast szeregu nazwisk (Berent, Kościelski, Staff, Żeromski), reprezentujących dotychczas redakcję, występuje jedno tylko: dra Wacława Borowego, które to skupienie redaktorskiej „władzy“ niewątpliwie wpłynie dodatnio na jednolitość pisma.

Widoczne to jest zresztą już w pierwszym Nrze „Przeglądu“. Co prawda, stało się tak z pewnością i wskutek konkretniejszego

ujęcia programu, który polega na „ograniczeniu działu literatury twórczej i na uwzględnieniu w szerszej mierze krytyki literackiej i artystycznej, oraz na wprowadzeniu zagadnień z dziedziny historji, socjologji, etnografji, filozofji, psychologji, językoznawstwa i t. d. — z całej słowem sfery kultury humanistycznej“. Tak pojęty program został niemal ściśle uwzględniony już w 1 Nrze, w którym spotykamy się z następującemi rozprawami: S. Kołaczkowski „O prostocie“, Wł. Folkierski „U progu siódmego wieku“ (Postać i znaczenie Dantego), I. Chrzanowski „Kilka podobieństw pomiędzy „Dziadów częścią trzecią“ a „Boską Komedją“, E. Kucharski „Jabłoń gwiazd w „Anhellim“, Z. Łempicki „Z zagadnień empirycznej filozofji historji“. Prócz tych prac, związanych przeważnie z świętem Dantego, przynosi „Przegląd“ nowelę Małaczewskiego „Miłosierdzie ziemi“ i bogatą serję przeżyć Wł. Orkana „Nad morzem polskiem“.

Połowa zeszytu poświęcona jest kronice, w której pp.: Chrzanowski, Kołaczkowski, Piwiński, Wędkiewicz, Lauterbach, Chodynicki i inni dają wyczerpujący a przytem celujący jasnością i zwięzłością przegląd najświeższych zjawisk we wszystkich niemal dziedzinach życia umysłowego i literackiego.

Krytyka literacka doznała ze strony redakcji opieki, co się zowie, troskliwej i bacznej, co zresztą napawa wiarą, że może nareszcie skończy się smutny okres lekceważenia tego działu życia nietylko literackiego, lecz i kulturalnego w głębokiem tego słowa znaczeniu. Okazuje się, że zwięzłość i treściwość uzupełniają się z powodzeniem z ścisłością analizy i sumiennością sądu krytycznego.

Knut Hamsun. *Benoni.* Warszawa (bez daty). Trzaska-Evert-Michalski.

Opowieść o życiu, niedoli i szczęściu Benoniego Hartwigsena nie obfituje w barwne efekty artystyczne. Snuje się jednostajnie, niemal monotonnie, opowiedziana jest, zda się, głosem równym, spokojnym, który nawet w tych momentach, gdy mówi o bolesnych przeżyciach bohatera, o utraconych serdecznych złudzeniach i zamiarach, nawet wtedy nie załamuje się i nie drży. Bo Knut Hamsun jest epikiem doskonałym, który umie stłumić uczucie, a oszczędny i powściągliwy w słowach, używa ich na to, by czytelnikowi pokazać swych ludzi możliwie najwierniej w rozlicznych sytuacjach ich życia.

Mimo to jednak jest Hamsun pisarzem, który nietylko widzi człowieka, lecz jeszcze słyszy tętno jego serca i słyszy stłumiony cichy szept bólu i samotnego cierpienia. Chce nam dać człowieka możliwie całego i stąd nie ma czasu ani ochoty zajmować się jedną tylko stroną jego osobowości, nie będzie roztkliwiał się nad jego nieszczęściem. Dlatego zawiedziony w swojej miłości do Róży, Benoni tak bardzo różny jest od tylu bohaterów powieściowych, którzy w podobnych okolicznościach pełni są cierpienia i smutku i dla których jakby przestało istnieć powszednie, normalne, szare życie.

Benoni, mieszkaniec cichego, norweskiego osiedla rybackiego, oddany pracy i rozlicznym zajęciom, snuje marzenia o szczęściu: o posiadaniu pięknej Róży pastorówny, o tem, jak ją otoczy dobrobytem — a może zbytkiem nawet. Cóż z tego, że jest tylko człowiekiem prostym, że w mieścinie nazywają go poprostu Benonim, nie „panem Hartwigsenem", że mógłby każdego dnia przestać istnieć dla ogółu sąsiadów i niktby się tem szczególnie nie zmartwił. Ale on sam czuje się powołanym na wyższy szczebel w tej sąsiedzkiej gromadzie. Zapewne, gdyby nie adwokat Arentsen, syn zakrystjana, kształcony w dalekiem mieście, dawny i szczęśliwszy od niego wielbiciel Róży — jego marzenia prędzej mogłyby się urzeczywistnić. Trzeba czekać i pracować tymczasem.

Proste to hasło życiowe nie jest zbyt łatwem do wykonania. Jednak Benoni pracuje wytrwale, z ochotą w imię swojego marzenia, w imię szczęścia. Zwyciężył wreszcie, choć nie na długo. Zaręczył się z Różą, która z nim zerwie, gdy tylko Benoni wyjedzie na kilka miesięcy, a w międzyczasie zjawi się dawny wielbiciel Róży, Arentsen. I znowu zaczynają się dla Benoniego dni szare i smutne, dni troski o byt, a co więcej, gryzącego niepokoju o to, czy aby ludzie nie lekceważą go zarówno z powodu miłosnego zawodu, jak i z racji pieniężnych kłopotów, na które naraża go przemyślny i chytry bogacz okoliczny, Mack.

Życie jest nieubłagane i Benoni spokojnie godzi się z tem, choć tak trudno mu się pogodzić z faktem, że jest nieubłagane — dla niego. Aż wreszcie uśmiechnął się los i Benoni, który kiedyś tylko dlatego kupił szmat skał nadbrzeżnych, by odzyskać opinję człowieka materjalnie niezależnego, — staje się człowiekiem bogatym, w dalekiej okolicy, najbogatszym. Skały zawierały cenną rudę i Benoni mógł je doskonale sprzedać.

Krótkiemi ale dosadnemi rysami kreśli teraz Hamsun ciekawy proces przemiany Benoniego. Jego wrodzona dobroć jeszcze się pogłębiła. Stał się bardziej lubiany i szanowany — a równocześnie tęsknota za utraconem szczęściem rosła coraz bardziej. Benoni czuł się teraz stokroć bardziej zdolnym do tego, by Róży stworzyć raj. A może się to i uda, bo właśnie mąż jej znudził sobie i prowincję zapadłą, i żonę, i ruszył w świat, zdając Różę na opiekę bożą? Przed Benonim otwierają się nowe perspektywy życiowe, o których autor w następnej dopiero zamierza mówić książce.

Oto szkielet fabuły, która pomimo tego, że Hamsun nie wdaje się w analizę przeżyć psychologicznych, jest przy swej prostocie bogata i interesująca. Ale te przeżycia, choć znaczone krótko, występują zawsze w formie zwartej, nastrajają czytelnika na ton serdecznego współczucia, a zawsze głębszego zainteresowania. Jest to już tajemnicą i właściwością stylu i artystycznego kunsztu Knuta Hamsuna, że jego powieść, pozornie jakby zmrożona chłodem dalekiej północy, tętni mocnem życiem, zabarwia się krwią i zbliża ku nam ludzi, co czują ani lepiej ani gorzej, niż ludzie gorącego południa i nie mniej od nich cierpią.

Od wydawnictwa.

Kilkumiesięczna przerwa w wydawnictwie „Ogniwa“ nastąpiła wskutek niezwykłych trudności technicznych. Jednak przeciwności udało się nam pokonać i „Ogniwo“ odtąd będzie ukazywało się regularnie co miesiąc. Z powodu podrożenia tak kosztów druku, — jak i papieru, cenę pojedynczego numeru jesteśmy zmuszeni podnieść na 200 Mkp.



Wydawca: „Polska Ludowa“ Towarzystwo wydawnicze, Stow. zar. z ogr. por.
Red. odp.: Marjan Flasiński.

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, Jagiellońska 10
pod zarządem L. K. Górskiego.

Waszą chłopską asekuracją

jest

›WISŁA‹

LUDOWE TOWARZYSTWO WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ

KRAKÓW,

ULICA RADZIWIŁŁOWSKA L. 23

(dom własny).

Dlaczego ubezpieczacie się jeszcze w innych Towarzystwach? Chłopi powinni wszyscy ubezpieczać swe mienie tylko w swojej „Wiśle“!

Podwyższajcie wartość ubezpieczoną, bo materjały i robocizna droga.

We wsi, gdzie dotychczas jest mało członków „Wisły“, a nie ma agencji, niechaj inwalida wojskowy lub piśmienny włościanin zgłosi się do dyrekcji „Wisły“, a otrzyma pouczenie i korzystny a uczciwy zarobek.